

PREZENTUJEMY

Piotr Edward Gołębski, z wykształcenia lekarz, jako poeta debiutował w roku 1956 na łamach *Nowego Medyka*. W ostatnich latach swoje utwory drukował m. in. w *Przeглядzie Katolickim*, *Słowie Powszechnym*, *Za i Przeciw*, *Gościu Niedzielnym* oraz w *Magazynie Medycznym*, *Medyku*, *Literaturze*, *Królowej Apostołów* a także miesięczniku *Jasna Góra*.

Po drugiej stronie orła

Po drugiej stronie orła na monecie
Kluszczana bieda zmarniałej macierzy
Gdzie okna wioskowych domów
Z perspektywą zarosłą obficie
Krzakami tutejszej bezmożności

Nasz kraju piwnej wody
Szyby miejskich blokowisk
Przesłonięte kotarą zamętu niemocy
I brakuje panoramy działania
W rozległym bezruchu ubóstwa

Ojcowizny często w samochodowych garsonierach
Pełno złotych cielców w małomyślnym królestwie
Zachłannie szarpanym obcojęzyczną przebiegłością
Niepamiętną tragizmu drańskiego porzucenia
I bez wdzięczności za ratunkowy przełom

Nasze dorodne gniazda przy zbożach kwitnących makami
Kiedyś całkowicie wypełnione staropolskim chlebem
Teraz rujnowane zakłamaniami rodzinnym
A wykształconym nadal trwałe zubożenie
Dla pozostawionych raj w niedojadkach śmietników

Wybacz

Panie wybacz mi
Moje myśli pokręcone
Gdy szukają ciebie

Ile w nich
Chwiejnej niewiary
Może naiwności

Ile głębin niedospaną nocą
A płycizn o świcie
I naprzemiennych wirażów

Myślę
Więc
Jesteś

Choć jeszcze
Twarzą w twarz
Nie spotykany

Poranek w Izabelinie

Nieważka mgła unosi się między
Różnobarwnymi kolumnami brzóz i sosen
Do krainy nieznaną przestrzeni
Wraz ze śpiewkami zarozumiałych kogutów

W przyspieszaniu jasności zamglonego świtania
Ulatuje rozległy opar mlecznobiały
Przez stateczne sito iglastych gałęzi
I nerwowe wibracje osikowych liści

Przytulnie obudzeni wzdłuż leśnych uliczek
W oknach akwarele mglistości jutrzeńki
Ze smutkiem obserwujemy przygrzewanie promieni
Klarują pejzaż rzeczywistej codzienności

Regularnych ruchów przygarniania wszystkiego
Podglądania bez końca szparami ogrodzeń
Niepewnego czasu wykonywanej pracy
I bezradności przy najcięższym schorzeniu

POWŚCIAĞLIWOŚĆ I PRACA

MIESIĘCZNIK KATOLICKI
WYDAWANY NAKŁADEM
XX MICHAŁITÓW

SPIS TREŚCI

● PREZENTUJEMY – Piotr Edward Gołębski	2
● GDYBYM ZAPOMNIAŁ – ks. M. Gładysz CSMA	3
● CZY TE HASŁA SPŁOWIAŁY? – ks. F. Ochoła CSMA	4
● OJCZYŻNA (cz. 3) – ks. J. Seremak CSMA	5
● NASZA PRZYSZŁOŚĆ W UE – B. Fedyszak-Radziejowska	6
● DWOJAKO – J. Trammer	7
● PRAWDZIWA EUROPEJKA – I. Sikora	8
● PIĄŚNICCY MĘCZENNICZY – M. Damasiewicz	10
● CYWILIZACJA – MM	11
● DUCH OJCOSTWA – M. Stępiechowicz	12
● TELEPOKOLENIE – M. Przybylski	13
● MAŁE CUDA DODAJĄ SKRZYDEŁ – dk. R. Kamiński CSMA	15
● BERNARD Z CLAIRVAUX – H. Oleschko	17
● NARODZINY FRANCJI – P. Smogorzewski	18
● KORZENIE TERRORYZMU – ks. A. Zwoliński	19
● MATACZENIE ARCHEOLOGÓW – ks. B. Markowski CM	20
● SOBORY – EFESKI I CHALCEDOŃSKI – ks. M. Starowieyski	21
● ATRYBUTY ŻYCIA ZIEMIAŃSKIEGO – J. Kossakowski	22
● ZAMYŚLENIA IZAAKA SYRYJCZYKA – Jean-Claude Larchet	23
● LWIE SPÓŁKI – S. Michalkiewicz	24
● POWITANIE PRZESZŁOŚCI – J. Węgner	25
● UKRAŚĆ POLSKĘ – A. W. Pawluczuk	26
● RÓŻANIEC – rec. ks. MG	27

FOT. OKŁADKA I – G. Gałązka

FOT. OKŁADKA II – P. Życieński

Numer zamknięto 18 sierpnia 2003 r.

ks. Mieczysław Gładysz

Gdybym zapomniał



Wrzesień jest miesiącem szczególnie *ojczyźnianym*. Wielkie pomniki pamięci, wielkie dramaty, wielkie wzloty, wielkie upadki... Słowem – **wielka historia naszego Narodu**. I trzeba o niej pamiętać, byśmy nie zapomnieli o sobie, byśmy nie *pluli sobie sami w twarz*. O tej wielkiej historii trzeba też mówić, prostopadła ją, chronić przed *zakłajstrowaniem* przez zawodowych handlarzy prawdą... Szczególnie ludzie formujący nowe pokolenia Polaków winni sobie za motto wziąć słowa Skargi: *Gdybym zapomniał Ciebie, Ojczyzno moja, ... Niech język przyschnie do ust moich, a ty Boże, na wieki zapomnij o mnie...*

Wychowawcy, nauczyciele znów zaczynają we wrześnie ciężką *orkę na ugorze...* Trzeba koniecznie siać ziarno prawdy (tej historycznej też!). I trzeba od nowa obudzić w młodych umysłach to przeogromne bogactwo naszej kultury. Wiedzę o ludziach mocnych i świętych, uczonych i odważnych. O bohaterach, ale i o zdrajcach – dla przestrogi! I trzeba koniecznie modlić się o powstanie z naszych *win przekleństw*. Modlić się gorąco za poetę: *o rządy mądrych, dobrych ludzi...*, lecz nade wszystkim, *by – słowem naszym zmienionym chytrze przez krętaczy, jedyności wrócić i prawdziwość... Niech prawo zawsze PRAWO znaczy. A sprawiedliwość – SPRAWIEDLIWOŚĆ!*

Matka Boża Siewna i św. Michał Archanioł – patronowie tego miesiąca – pomogą wyciągnąć wybaczącą dłoń do pojednania z tymi, którzy ten miesiąc krwią i pożogą wpisali nie tak dawno w historię naszego Narodu.

Dla naszego pisma wrzesień, zwłaszcza wrzesień 2003 r. jest bardzo ważny. W tym roku mija **105 od założenia Powściągliwości i Pracy** przez ks. Markiewicza, a w tym miesiącu **20 lat od wzniesienia edycji tego pisma po przejściu przez polskie Morze Czerwone...** Tak się złożyło, że zarówno po założeniu (na przełomie wieków), jak i po reindykacji wydawania miesięcznik *Powściągliwość i Praca* pełnił rolę swoistej tuby, publicznego głosu tych wszystkich, którzy nie mieli prawa mówić swoim głosem. U obydwu początków pismo było sumieniem Narodu. Przypominało jednocześnie o dramacie zniewolonego ducha... U obydwu tych początków pokazywało gwiazdy przewodnie Judyków i Jurandów..., także dzieci z Wrześni i z *Powstania Warszawskiego...*, Sybiraków (nie tylko Polaków!), mocarzy ducha, takich jak o. Kolbe, jak ks. Popietuszek... Myślę, że tamte oba okresy to ogromna walka o pamięć Narodu... Ta walka trwa dalej... ■

Mija 105 lat od powstania i 20 lat od wznowienia **POWŚCIĄGLIWOŚCI I PRACY**

We wrześniu 1983 roku, dwadzieścia lat temu, po czterdziestu trzech latach nieobecności (spowodowanej wybuchem II wojny światowej oraz czasami komunizmu) ukazała się reaktywowana *Powściągliwość i Praca*. We wstępie do pierwszego numeru redaktorzy wydania pisali: **Wielu starszych pamięta miesięcznik ze swoich domów. Kardynał Stefan Wyszyński wspominał kiedyś, że Jego Ojciec był stałym prenumeratorem Powściągliwości. Dziś pismo wraca w odmienionej szacie graficznej, w innych zupełnie czasach, redagowane przez ludzi, którzy nie sięgają nawet pamięcią dni pojawienia się ostatniego – 381. numeru PiP...**

Aby przypomnieć tamte trudne czasy: te Markiewiczowskie i te solidarnościowe – przywołujemy artykuł (niezjącego już michały: wychowawcy, poety i duszpastrza) ks. Ferdynanda Ochały CSMA. Wydaje się, jakby pisał go wczoraj...

Czy te hasła spłowiwały?

Bez uprzedzeń! Rozumnie! Mądry gospodarz ze swego spichrza wydobywa stare i nowe. Za dużo marnotrawstwa! Nie wynosić na śmietnik tego, co może jeszcze służyć, lub co posiada stałą przydatność...

Przez blisko pół wieku ojcowie michały wydawali miesięcznik *Powściągliwość i Praca*, podejmujący problematykę społeczno-wychowawczą. Zainicjował go Sługa Boży ks. Bronisław Markiewicz w 1897 r., patrząc na współczesną sobie rzeczywistość i procozy wybiegając myślą naprzód. Przewidywał problemy zrodzone z krzywdy społecznej i ukazywał drogę wyjścia z kryzysu.

Dziś bardziej wierzymy jego słowom, bo już przeżyliśmy wiele zapowiedzianych przez niego wydarzeń. Przechuczały nad nami wojny o zasięgu światowym. Oglądaliśmy wojenne zniszczenie spowodowane przez *zdmiewające wynalazki*. Na Stolicy Piotrowej zasiadł Papież – Polak, o którym Sługa Boży mówił: *Najwyższy was Bóg wymieście, gdy dacie światu wielkiego papieża*.

Markiewiczowskie czasopismo wysuwa hasła: *Powściągliwość i Praca* – jako jedyną drogę ocalenia ludzkości. Nie mówcie, że to hasła spłowiwały... Zaniechajcie kłótni o wyrazy, ale sięgnijcie po treść!

Ksiądz Markiewicz pod pewnym względem jest prekursorem idei papieża Jana Pawła II. Na pierwszy plan wysuwa człowieka. Nie przecząc faktowi, że

warunki kształtują ludzką osobowość, wskazują rolę, jaką na odwrót ta osobowość odgrywa w kształtowaniu świata. Dopóki człowiek będzie, według określenia Norwida, *tylko larwą ludzką, zlaknioną krwi i pieniędzy*, dopóty świat będzie zagrożony i nieszczęśliwy.

Ale człowiek dochodzi do pełni człowieczeństwa dopiero wtedy, gdy nauczyć się biegle dwóch słów: **Tak! – Nie!**

Słowo *nie*, mające oparcie w należyście urobionym sumieniu, jest niesłychanie doniosłe, zwłaszcza dziś, kiedy świat daje tyle obietnic. Pokusa łatwego życia, szybkiego dojścia do kariery, pragnienie fascynujących przeżyć, chęć zdobycia popularności – jakże często upadają człowieka, wzywają go z sumienia, czynią lichym pionkiem na szachownicy.

Jeden z wierszy Norwida ukazuje łódź, w której płynie ojciec z synem. Nagle syn spostrzega sprzęgła mostu, rysujące się w jego oczach jako olbrzymi krzyż. Zląkł się. Zaklina ojca, aby wrócił. Ojciec jednak odważnie minął most. Wtedy obydwu ukazał się piękny krajobraz. Wiersz kończą słowa: *Tak krzyż stał się bramą*.

Bez krzyża, wyrzeczenia, bez powściągliwości ani człowiek, ani społeczeństwo nie osiągną właściwego poziomu. A im więcej ludzi nastawi się na łatwinie, tym cięższy krzyż nas przytoczy, bo zacinamy życie kosztem drugiego, bo dla własnej wygody będziemy innych krzywdzić i przytłaczać!

Połączenie słów *powściągliwość i praca* jest bardzo wymowne. Tam bowiem, gdzie nie ma powściągliwości, pracuje się bez rezultatu. Trójwymiarowa praca, którą głosi ks. Bronisław Markiewicz: **fizyczna, umysłowa i duchowa** – ma na celu pełny rozwój człowieka. W takim ujęciu myśl Markiewiczowska wtóruje wypowiedzi Cypriana Norwida: *Do pracy, praca na to jest, by się zmartwychwstało!*

W Markiewiczowskim ujęciu pracy na pierwszym miejscu zawsze widnieje człowiek. Zbrodnią jest tak organizować pracę, by niszczyła ludzi. I zbrodnią jest tak ustawić ludzi, by niszczyli pracę. A taka sytuacja może zaistnieć wtedy, gdy człowiek nie kocha pracy czy też narzędzi pracy, gdy zagarnia mu się cały plon pracy i stwarza warunki, w których tylko cwaniacy i karierowicze dochodzą do majątku. Należy też pamiętać, że tylko człowiek wolny może kochać pracę, niewolnik będzie ją tylko przeklinał!

Sługa Boży ks. Bronisław Markiewicz słusznie podkreślał, że *praca i powściągliwość zmienia oblicze ziemi*. Są to zagadnienia pierwszoplanowe. Bez właściwego ustawienia tych zagadnień nie myślimy o pokoju, postępie, rozwoju, szczęściu.

Jednak żyć w pełni hasłami *Powściągliwość i Praca*, dostrzec ich sens może jedynie człowiek religijny. Sługa Boży ks. Bronisław Markiewicz wypowiedział zdanie: *Szczytem pracy jest modlitwa*. Jeżeli praca ma przeobrazić człowieka i świat to nie ulega wątpliwości, że modlitwa i wiara w Boga najskuteczniej dokonują tego przeobrażenia. Jedynie wiara czyni z pracy narzędzie miłości i pokoju. Jedynie wiara podtrzyma człowieka na drodze wyrzeczenia i powściągliwości i obdarzy go niezłomną siłą.

Nie mówcie więc, że spłowiwały Markiewiczowskie hasła: **Któż jak Bóg!, Powściągliwość i Praca**. Możecie zastanawiać się nad tym, jak je uatrakcyjnić przez użycie innych słów, ale nie zapominajcie, że ich treść jest zawsze aktualna. Podajcie ją bez przykrawania do zbyt płytkich umysłów.

ks. Ferdynand Ochała CSMA

GŁOS KSIĘDZA MARKIEWICZA (CZ. 3)

Ojczyzna

W twórczości pisarskiej ks. Markiewicza nie znajdujemy konkretnej definicji Ojczyzny. Pośrednich wypowiedzi jest wiele. Uważał, że Ojczyzna jest *tworem Opatrzności Bożej*, która połączyła ludzi jedną mową, jedną ziemią, jedną religią i jednym obyczajem.

Ojczyzna jest dziełem Opatrzności Bożej – powstanie narodu polskiego, według ks. Markiewicza, nie jest więc wynikiem społeczno-politycznych ruchów, ale skutkiem woli Boga, wyznaczającego konkretne posłannictwo każdemu narodowi – *świadczą o tym dzieje naszego narodu, na kartach którego zostało napisane, iż Pan Bóg powołał Polskę...* Wnikliwa, chociaż bardzo swoista analiza historii Polski utwierdzała go w przekonaniu, że każde odejście Polski od swego Stwórcy kończyło się rozpadem, każdy zaś powrót do Niego – był nagradzany jednością i mocą.

Ojczyzna posiada jedną mowę. Jest to dar Boży. Używając mowy człowiek powinien wychwalać Boga i pomnażać szczęście swoje i innych. Każdy naród otrzymał ten dar i każdy jest zobowiązany do szacunku dla niego. Ksiądz Markiewicz bardzo wysoko cenił mowę polską i uważał, że należy ją pielęgnować: *Bóg wam dał język najbogatszy w wyrażeniu, formy i brzmienia (...). I wy gardzicie polskim językiem i polską literaturą, przenosząc nad nie obce. Nie równaj się to deptaniu darów Bożych?* Subiektywne i emocjonalne podejście ks.



Tab. P. Żywieński

Markiewicza do kwestii mowy narodowej wyekspozowane są w stwierdzeniu: *języka polskiego będą się uczyć na całym świecie*.

Ojczyzna zajmuje swoje terytorium. Ziemia, podobnie jak mowa, jest darem Bożym. Człowiek zobowiązany jest tej ziemi bronić i wszelkimi siłami zapobiec niesprawiedliwości zabierającej *ojcowską*. Czasami ten dar wydać się może zbyt ciężki i w związku z tym zniechęcający do wysiłku, ale: *chrześcijanin powinien na każdy dzień krzyż swój nieść, to jest spełniać obowiązki, od Boga nań włożone na tym miejscu, na którym go Opatrzność postanowiła*.

Problem ojczystej ziemi jako daru, którego należy być właścicielem i obrońcą, porusza ks. Markiewicz w związku z wykupywaniem ziem polskich przez osadników niemieckich oraz w związku z ucieczką szlachty polskiej z ziemi polskiej za granicę w poszukiwaniu wygodniejszego życia.

Ojczyzna oddaje cześć Bogu w ramach jednej religii – *ta jedyną religią jest katolicyzm*. Dzięki niemu Polska stała się *matką świętą*, zaś święci stają się *podporą życia Ojczyzny i światłem dla narodu*. Ksiądz Markiewicz pragnął, aby wartości religii katolickiej wprowadzały do obszaru społeczno-moralnego i politycznego życia Ojczyzny. Zaproponował nawet zmianę godła: *Weźmy godło na wskroś chrześcijańsko-katolickie. Naszym herbem niechaj będzie Niewiasta biało odziana z koroną na głowie, z Dzieciątkiem Bożym na lewym ręku, a z berłem w prawym, stojąca na obłoku; dalej, po Jej prawicy, Rycerz Niebieski, w purpurę odziany, gruchocący pod swymi nogami smoka piekielnego – a wreszcie po Jej lewicy Mąż, w sukni koloru ciemnego z aureolą i palmą męczennika, klęczący z twarzą zwróconą do swojej Monarchini. Oto Maryja, Królowa nasza, Michał Archanioł i błogosławiony Jędrzej Bobola. Orzeł jako ptak drapieżny nie odpowiada Polakom, gdyż Polacy nie są zabobory*.

Koncentracja wszystkiego wokół katolicyzmu wynikała z przekonania, że: *Pan Bóg przyszedł na ziemię, aby nas*

nauczyć, jak mamy żyć i działać i tę naukę zbawienną zostawił tylko w Kościele katolickim, a nie gdzie indziej (warto w tym miejscu przypomnieć dokument Stolicy Apostolskiej wydany w Roku Jubileuszowym: *Dominus Jesus*). Dla obrony wartości *jedynej religii katolickiej* należało przyjąć, według niego, postawę radykalną, nie dopuszczającą *zewnątrznych blasków potęgi materialnej* *immowierczych narodów*, budowanych na systemach nie uwzględniających zasad i wartości chrześcijańskich.

Ojczyzna posiada swoje obyczaje – obyczaj jest wyrazem odrębności narodowej i jego bogactwa. Czasami do obyczaju dostają się wady, czyniące w społeczeństwie wiele spustoszenia. Tak jest w przypadku narodu polskiego. Przeciwko tym wadom narodowym musi powstać nowy obraz obyczajów mających swe źródło w nauce Chrystusowej.

Ksiądz Markiewicz, analizując historię Polski i poddając się sugestii ks. Skargi, ukształtował w sobie przekonanie, że naród polski jest powołany do szczególnej funkcji apostołskiej i obronnej wobec Europy i ościennych narodów. Polska, która jest przedmurzem chrześcijaństwa, miała orężem swym bronić przed nawalem atakującym. Jest ona powołana nie tylko do fizycznej obrony chrześcijaństwa, lecz także do duchowego bojowania, w którym już odnosiła swoje sukcesy: *Naród nasz miał przed laty, po miastach i miasteczkach, setki kapłanów i zakonników, których pienia nabożne brzmiały w dzień i w nocy a zaraz opodal niego leżały narody w grubych błędach kacerstwa, schizmy, zabobonów i pogaństwa. Trzy razy tylko dał nasz naród poznać, iż zrozumiał swoje chrześcijańskie posłannictwo: za czasów Jacka, Jagiełły, Boboli. Później stał się podobny do owego bogacza, który, mając spichlerze pełne zboża, pozwalał ginąć od głodu, pod oknami domu swego, zgłodniałym ubogim (...). I dzisiaj słowem i przykładem zmuszeni jesteśmy głosić im Słowo Boże...*

cdn.

ks. Jan Seremak CSMA

ZWYCZAJNIE RZECZ BIORĄC

Za osiem miesięcy Polska stanie się pełnoprawnym członkiem Unii Europejskiej. Państwa, które w 1952 r. Traktatem Paryskim powołały Europejską Wspólnotę Węgla i Stali; w 1958 – Traktatami Rzymskimi – Europejską Wspólnotę Gospodarczą, a w 1992. w Maastricht – Unię Europejską – konsekwentnie i z determinacją budują od dziesiątków lat wspólną gospodarkę, wierząc, że tym sposobem zapobiegną zbrojnym konfliktom w Europie. I, jak widać, mają rację, żaden spór w obrębie wspólnoty europejskiej nie przerodził się w tym okresie w poważny konflikt. Jednak najbliższe rozszerzenie UE, w którym weźmie udział także Polska, zdaje się dalece niepokoić starych członków, bo zaproponowali nową, tym razem wyraźnie polityczną, formułę integracji. Trudno bowiem inaczej interpretować wyniki prac Konwentu Europejskiego, który po 18 miesiącach przyjął wspólnie projekt europejskiej konstytucji. Medialna, uroczysta oprawa aktu wręczenia tego dokumentu przez Valerego Giscarda d'Estaing premierowi Grecji Kostasowi Simitisowi (20 czerwca 2003. w greckim kurorcie Porto Carras) sygnalizowała zawarcie historycznego kompromisu przez przedstawicieli wszystkich państw członkowskich i kandydujących.

Nasza przyszłość w UE

Barbara Fedyszak-Radziejowska

W rzeczywistości dopiero w październiku przywódcy 25 krajów członkowskich i kandydujących rozpoczną negocjacje w sprawie przyszłej konstytucji. Zakończenie prac przewidziano na początek 2004 roku.

Nic jeszcze nie zostało przesądzone, państwa i społeczeństwa członkowskie oraz kandydujące stoją przed poważnym problemem wymagającym dyskusji, debat i sporów. Projekt przyszłej unijnej konstytucji wprowadza bowiem *kuchennymi drzwiami* zasadnicze zmiany. Ich istota sprowadza się do wykorzystania poszerzenia UE o nowe, wyraźnie słabsze gospodarczo państwa jako pretekstu do przejścia na wyższy, znacznie bardziej ryzykowny – bo polityczny i instytucjonalny – poziom integracji. Co prawda, mimo nacisków Niemiec, Francji i Belgii, projekt Konwentu nie jest jeszcze *podstawą przyszłej konstytucji*, a jedynie *dobrym punktem wyjścia* do jej konstruowania, nie zmienia to jednak wagi problemu.

Czy jesteśmy przygotowani do debaty wokół projektowanych ustaleń? Czy wiemy, o co tu tak naprawdę chodzi? Jedno z najważniejszych pytań brzmi: czy UE ma nadal być wspólnotą

gospodarczą państw otwierającą przed swoimi obywatelami i firmami prawo do swobodnego przepływu usług, towarów, ludzi i kapitału na wolnym rynku, czy też zaczyna przekształcać się w ponadpaństwowy twór polityczny? Czy nadal będzie wspierać słabsze regiony ze środków pochodzących ze wspólnej składki (1,27 proc. PKB) zgodnie z ich własnymi propozycjami i projektami, czy też zacznie centralnie zarządzać środkami budżetowymi zgodnie z własnymi, odgórnymi pomysłami?

Przypomnijmy treść najważniejszych ustaleń *Konwentu Europejskiego*. Są wśród nich najbardziej nagłośnione ustalenia aksjologiczne, wpisane do preambuły dokumentu, oraz mniej znane rozwiązania określające tryb podejmowania decyzji przez rozszerzoną UE. W sferze aksjologicznej, określającej przeszłą i przyszłą tożsamość Europy, spór rozwiązano w sposób typowy dla *oświeceniowych doktrynerów*. Okazało się, że korzenie Europy tworzy coś równie nieokreślonego i uniwersalnego, jak *dziedzictwo kulturalne, religijne i humanistyczne*. Natomiast o przyszłości Europy, zaprojektowanej w konstytucji, doświadczeni Polacy mogą powie-

zieć, że *ludzie ludziom zgotują ich los*. W projekcie preambuły nie ma odwołania do Boga, nie ma wartości chrześcijańskich, nie ma żadnych ograniczeń, które w imię Boga lub europejskiej tradycji przyjmują na siebie współcześni Europejczycy.

W środowiskach laickich modne są hasła trwałego i zrównoważonego rozwoju, a wśród nich – obowiązek zachowania tzw. *bioróżnorodności*, czyli dbania o to, by żaden gatunek roślin i zwierząt nie został przez człowieka unicestwiony.

Chciałabym zapytać twórców projektu europejskiej konstytucji, czy nie mamy obowiązku chronić chrześcijaństwa i jego wartości, chociażby w imię podobnej idei, obejmującej nie tylko przyrodę, lecz także stworzoną przez człowieka cywilizację? Czy w skali świata istnieje inna wspólnota ludów – Azji, Afryki lub Australii, która byłaby równie odpowiedzialna za przyszłość chrześcijaństwa jak Europejczycy?

W sferze politycznej, a więc dotyczącej kształtu przyszłych władz UE i trybu podejmowania przez nie decyzji przyjęto, że od roku 2009 (lub 2012) obowiązywać będzie zasada, zwana – nie wiadomo dlaczego – *bardziej demokratyczną*. Decyzje zapadać będą w zależności od zgody co najmniej połowy państw tworzących UE, pod warunkiem że będą one reprezentować łącznie 60 proc. ludności UE. Tym samym każda decyzja mogą zablokować państwa, których mieszkańcy stanowią 40 proc. ludności Unii. Sojusz Niemiec i Francji wsparty przez jeden z większych i jeden z mniejszych krajów będzie więc w stanie zablokować każdy projekt większości państw tworzących UE, mających niezbyt liczne społeczeństwa, np. stanowiących 57 proc. wszystkich mieszkańców UE.

Wcześniejsze rozwiązania przyjęte w Nicei (które miały wejść w życie po rozszerzeniu) dawały poszczególnym państwom narodowym znacznie większy wpływ na ustalenia przyjmowane w Unii. Decyzje miały zapadać kwalifikowaną większością 233 głosów (na 321 głosów), zaś liczba głosów przyzna-

na poszczególnym państwowemu zależna była od wielu czynników, nie tylko od liczby ich obywateli. Wedle tej zasady *Unia Europejska* nadal była wspólnotą państw narodowych. Projekt konstytucji wprowadza *tylnymi drzwiami* zmianę rewolucyjną – o kształcie UE decydować będą *europejskie masy* i to nie w głosowaniu bezpośrednim, lecz w obliczeniach statystycznych. Już nie państwa, lecz *liczebność obywateli* państw Unii Europejskiej podejmować ma najważniejsze decyzje.

Skomplikujemy ten pozornie *bardziej czytelny* sposób podejmowania decyzji. Czy masowe migracje między państwami sprawią, że ich siła mierzona głowami (nogami?) obywateli ulegać będzie dynamicznym zmianom? Czy aby obojętna w UE zasada subsydiarności nie ogranicza kompetencji centrali do spraw najbardziej kluczowych, wykraczających poza możliwości działania pojedynczych państw? Jeśli tak, to dlaczego decyzje te mają zależeć – pośrednio – od liczby mieszkańców poszczególnych krajów, a nie od ich przedstawicieli wybranych w demokratycznych wyborach?

Konsekwentnie, w tym samym duchu, projekt konstytucji zmniejsza liczbę komisarzy *unijnych*, (dotychczas każdy kraj miał co najmniej jednego komisarza) a przewodniczącego (prezydenta) *Rady Europejskiej* wybiera się na dwupółletnią kadencję. Dotychczasowy system rotacyjny w *Radzie Europejskiej* przynajmniej wszystkim krajom członkowskim prawo prowadzenia prac UE przez 6 miesięcy. Projekt *Konwentu* przewiduje także powołanie ministra spraw zagranicznych UE.

W imię *pogłębionej integracji* wprowadza się system reklamowany jako *bardziej demokratyczny i bardziej czytelny*. To są tylko słowa. Ani dzisiaj, ani w wyobraźalnej przyszłości nie zaistnieje – moim zdaniem – żaden *naród europejski* ani żaden wspólny elektorat europejski. Wciąż żyjemy w państwach narodowych i będziemy w nich żyć przez najbliższe dziesiątki lat. Chyba że, przyspieszając w sposób sztuczny i doktrynalny proces politycznej integracji

Europy, wywołamy kolejną, totalitarną katastrofę.

Powinna trwać dyskusja, spory i debaty. Tymczasem Polacy karmieni są ideologiczną papką i straszeni (jak zwykle) swoimi wadami. Pozwólmy sobie zacytować przykład jednego z wielu podobnych artykułów. W *Tygodniku Powszechnym* (17 sierpnia 2003 r.) M. Orzechowski pisze: *Jeżeli Warszawa już niebawem nie opowie się wyraźnie po stronie pogłębionej integracji, szybko zostanie przesunięta na zewnętrzną orbitę. (...) Nikt wprawdzie nie rozumie (!?! – BFR) matematyki tego systemu, ale system nicejski stał się symbolem. Ponoć dzięki niemu będziemy mogli w Unii coś dyktować. Projekt traktatu europejskiego wprowadza natomiast system czytelny i bardziej demokratyczny – liczy się wielkość państwa. (...) Dlaczego Polakom to nie odpowiada? Chcemy się droczyć z resztą Europy o utrzymanie systemu nicejskiego, choć prawie wszyscy, zarówno członkowie, jak kandydaci uznali, że uzgodnienia z Nicei trzeba pogrzebać, zanim się narodziły...*

Nic dziwnego, że jednostronna argumentacja i dyskredytowanie przeciwników projektu opracowanego przez *Konwent Europejski* przynosi efekty. Opinia publiczna zdaje się już mieć poglądy w tej sprawie, chociaż nie poznała argumentów spierających się stron. Sondaż CBOS z lipca 2003 roku, przynosi dość szokujące wyniki: za utworzeniem wspólnego rządu UE opowiedziało się 47 proc. Polaków, tylko 29 proc. było temu przeciwnych. Pomysł powołania ministra spraw zagranicznych UE popiera 45 proc. Polaków, jedynie 29 proc. jest odmiennego zdania. Pewnym optymizmem napawa jedynie to, że od marca poparcie dla idei wspólnego rządu w Unii spadło o 5 proc., a sprzeciw wobec tego pomysłu wzrósł o 6 procent.

Jak tak dalej pójdzie, to wkrótce może się okazać, że najbardziej użytecznym zapisem projektu konstytucji jest ten, który głosi, że każdy kraj może opuścić *Unię Europejską* po dwóch latach od zgłoszenia formalnie takiego zamiaru. ■

Jerzy Trammer

Dwojako

Pisze się u nas i mówi, że w Polsce *jest jak jest* z powodu nieuczciwych polityków. Lecz temat trzeba dźrać głębiej, albowiem historia uczy nas, iż z nieuczciwą polityką sprawa może przedstawiać się dwojako. Bywa np. tak, że naród jest dobry, uczciwy (*wysokie ma standardy*), tymczasem władzę przechwyciły gangi, np. *nazistowski*. Jeśli uda się dość szybko je usunąć (zanim zdemoralizują wszystkich) i władzę przejmie ktoś spoza gangu, np. Konrad Adenauer – to wtedy kraj z powrotem ma dobrą i uczciwą władzę.

Ale zdarza się też inaczej. Na przykład tak, że naród korupcję ma za zwyczaj i normalność. Można podówczas pałkę zmieniać – z cesarza, dajmy na to, na pułkownika, jak w Etiopii, a polepszenie nie nadchodzi: każda nowa ekipa skorumpowana nie w zupełnej zgodzie z obyczajem. Nie może się rozpocząć era uczciwych polityków, bo nie ma skąd ich brać. Na przykład zwykli ludzie, którzy do lasu lub na pobocze drogi zrzucają swoje śmiecie, żeby nie płacić za wywóz, będą kombinować również wtedy, kiedy zostaną politykami. W pierwszym przypadku politycy ostro się różnią od narodu, są nietypowym odchyleniem, infekcją i wybrykiem. W przypadku drugim są oni typowymi okazami, kością z kości narodu, krwią z jego krwi.

Teraz ustalmy, który przypadek dotyczy Polski. Jeżeli pierwszy – jest nadzieja. Jeżeli drugi – trzeba dać spokój z pisaniami i mówieniami o nieuczciwych politykach, należy zaś zacząć pisać o nieuczciwym narodzie: o nas. Do odróżnienia obu przypadków służy następujący test, który obmyślił mój znajomy licealista. Należy obserwować – czy po gruntownej zmianie władzy wraca uczciwość. Jeżeli tak – zaszedł przypadek pierwszy. Jeżeli nie – mamy do czynienia z przypadkiem drugim.

W Polsce mieliśmy ekipy różne – korupcja kwitła pod każdym panowaniem... ■
Przypadek drugi? ■

Izabela Sikora

Prawdziwa Europejka

Pod koniec maja 2003 r., przygotowując materiał o **matce Urszuli Ledóchowskiej**, obserwowałam finał kampanii zachęcającej Polaków do **Unii Europejskiej**. Przedstawiciele rządu i środowisk opiniotwórczych, nie żałując czasu antenowego ani budżetowych pieniędzy, zachwalali rajskie życie w UE. Kilka miesięcy wcześniej zapraszano do Brukseli polskich hierarchów i zabiegano o pozytywną opinię Ojca Świętego. W kilka tygodni po ogłoszeniu pozytywnych wyników referendum Valery Giscard d'Estaing przedstawił projekt europejskiej konstytucji, w której nie ma słowa o Bogu ani chrześcijaństwie (*bo mogłoby to obrazić uczucia niewierzących*). Jest za to odwołanie do tradycji antycznej, w której nagminnie występowały takie zjawiska, jak: niewolnictwo, handel ludźmi, prześladowania religijne, zabijanie dla rozrywki i składanie ofiar z ludzi bogom.

Drugim europejskim filarem ma być tradycja Oświecenia, stawiająca na piedestale rację i rozum. Z tej tradycji, jak pamiętamy, wyrosła *Wielka Rewolucja Francuska* – matka obecnej Republiki – na której rozkaz dokonano pierwszego w Europie ludobójstwa – wybijając zbuntowaną ludność Wandei. General Westerman tak pisał o tym w raporcie do Konwentu: *Wandej już nie ma... Pogrzebałem ją w lasach i bagnach Savenay... Zgodnie z rozkazami stratowałem ich dzieci kopytami naszych koni, wymordowałem ich kobiety... Nie mam ani jednego jeńca, który mógłby czynić mi wyrzuty. Wszystkich zniszczyłem. Drogi są usiane trupami...*

Opracowane w Wandei metody masowej eksterminacji (głodzenie na śmierć, masowe egzekucje, topienie, palenie całych miejscowości wraz z ludnością) z powodzeniem wykorzystali ludobójcy XX wieku. To właśnie Francuzi po raz pierwszy zastosowali komo-

ry śmierci. W porcie atlantyckim w Nantes zgromadzili flotyllę statków, na których pokład ładowali swe ofiary, by potem utopić je na pełnym morzu. Po wykonaniu *pracy* wracali po następnych... Czyżby współcześni ojcowie Zjednoczonej Europy nie pamiętali niedawnej przeszłości?

Ojciec Święty, który zawsze pragnął zjednoczonej Europy, miał zupełnie inną wizję Starego Kontynentu. Wizję sprzymierzonych narodów, które – pamiętając o swoich chrześcijańskich korzeniach – współpracują w pokoju i jedności. Symbolem tej wizji może być wyniesiona na ołtarze (18 maja 2003 r.) Europejka – matka Julia Urszula Ledóchowska – założycielka Zgromadzenia Serca Jezusa Konającego. Święta Urszula nie obawiała się Europy: w Austrii, Francji, Szwecji czy Danii czuła się jak u siebie w domu. Jednak najbardziej kochała Polskę.

Rodzinne korzenie

Na starej, sepiowanej fotografii z 1872 r. gromadka dzieci na tarasie domu. Po lewej sześciolatek Włodzimierz w jasnym garniturku (w przyszłości zostanie generałem zakonu jezuitów). Obok niego Ernestyna w kraciatwej sukni z falbanką i kokardą. Po środku, na fotelu dziewięcioletnia Maria Teresa (w przyszłości misjonarka zwana *Matką Afryki*, beatyfikowana w 1975 r.). O jej ramię wspiera się śliczna blondynka. To Julia, która w przyszłości założy nową gałąź zakonu urszulanek, tzw. *urszulanki szare*. Zdjęcie wykonano w Loosdorf k. Wiednia w posiadłości rodziny hrabiostwa Ledóchowskich. Ojciec rodziny Antoni Ledóchowski schronił się tutaj po upadku powstania listopadowego. Matka Józefina Salis-Ziners pochodziła ze starego szwajcarskiego rodu rycerskiego. Oboje rodzice byli bardzo zaangażowani w działalność patriotyczną i życie Kościoła.

W 1883 r. rodzina Ledóchowskich przenosi się do Lipnicy Murowanej k. Bochni, żeby lepiej służyć rozbitemu przez zabory narodowi.

Dom Ledóchowskich słynął z ciepłej, rodzinnej atmosfery. Dzieci wychowywano w duchu miłości, choć surowo – nie pozwalając im na kaprysy czy rozczulanie się nad sobą. Mała Julia otrzymała staranne wychowanie: uczyła się malarstwa i języków obcych, jeździła konno i na łyżwach, chętnie tańczyła. Mimo licznych pasji starczało jej czasu na odwiedzanie biedaków z okolicznych wiosek. Zanosila im żywność i lekarstwa, pomagała w trudnych sytuacjach. Już wtedy dojrzało w niej powołanie zakonne.

U sióstr urszulanek

Decyzję o wstąpieniu do klasztoru sióstr urszulanek podjęła po śmierci ojca – w sierpniu 1886 r. W klasztorze przyjęła imię Urszula na cześć św. Urszuli, męczennicy z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Pełna entuzjazmu i obdarzona licznymi talentami Urszula została najpierw nauczycielką w szkole z internatem prowadzonej przez urszulanki. Nauczała przedmiotów przyrodniczo-matematycznych. Językiem wykładowym był francuski, którym doskonale się posługiwała. Oprócz tego prowadziła zajęcia z historii sztuki i malarstwa, sama sporo malując i urządzając wystawy. Już wtedy udało się jej stworzyć własną metodę pedagogiczną opartą na miłości i zaufaniu. Uczennice Urszuli wspominają jej zajęcia jako bardzo ciekawe. Posługiwała się najnowszymi zdobyczami nauki. Można by powiedzieć, że była na swoje czasy bardzo postępową. O ile jednak dla wielu współczesnych jej pedagogów *nowoczesność nauczania* polegała na *odrzućniu Boga*, o tyle w nauczaniu matki Urszuli miłość do Boga i człowieka znalazła się w centrum wychowania. Pamiętamy, że swoją działalność pedagogiczną prowadziła na przełomie wieków, kiedy rozpoczynał się ruch emancypacji kobiet. Matka Urszula nie miała nic przeciwko emancypacji. Chciała, żeby kobiety zdobywały wykształcenie, rozwijały swoje zdolności – ciągle pod-

kreślała jednak, jak ważna jest rola matki w społeczeństwie.

– *Przyszłość narodu nie tyle w rękach polityków, ile w rękach matek spoczywa* – jedno z kluczowych założeń systemu urszulańskiego dostrzegli też twórcy państwowych systemów totalitarnych. Odebrać dzieci matkom i umieścić je w państwowych żłobkach, przedszkolach i szkołach – takie było założenie narodowego socjalizmu i marksizmu-leninizmu. Narody zarażone faszyzmem i komunizmem wyniszczały się wzajemnie przez cały wiek dwudziesty. Mimo ogromnych nieszczęść, spowodowanych przez totalitaryzm, apetyt na państwowe wychowanie młodego pokolenia ciągle nie mija.

W 1904 r. – mając lat 39 – matka Urszula została przełożoną krakowskiego klasztoru. Zdając sobie sprawę z trudnego położenia studentek *Uniwersytetu Jagiellońskiego* utworzyła pierwszy internat dla dziewcząt. Formację duchową miały zdobywać w *Sodalitacji Marińskiej* – organizacji przeznaczonej dla katolików świeckich.

Wtedy też zabrała się do unowocześnienia urszulańskiej konstytucji, na której opierało się życie sióstr. W 1907 r., po dokonaniu przeróbek, wybrała się do Rzymu, żeby nową konstytucję przedłożyć papieżowi Piusowi X. Przy tej okazji przedstawia Ojcu Świętemu swój najnowszy projekt. Korzystając z żelaznia prześladowań, pragnęła udać się do Rosji. Pomysł wyjazdu pojawił się po otrzymaniu zaproszenia od ks. K. Budkiewicza z parafii św. Katarzyny w Petersburgu.

Europejska misja

Po otrzymaniu zgody m. Urszula wraz z dwiema siostrami opuszcza krakowski klasztor i *incognito* udaje się do Petersburga. Pragnienie pracy w Rosji jest tak silne, że urszulanki zamieniają habitę na skromne stroje cywilne. Prowadząc placówkę misyjną w podziemiu, pracują jako wychowawczynie w szkole dla polskich dziewcząt. Żeby rozszerzyć oddziaływanie na Rosjan m. Urszula uczy się języka rosyjskiego. Po zdaniu egzaminów ze znajomości języka może pracować w rosyjskim gimna-

zjum. W rok później nauczyć się fińskiego, a potem szwedzkiego – wszystko po to, żeby swobodnie porozumiewać się i bez problemów pracować z młodzieżą (ten fragment życiorysu m. Urszuli powinni przeczytać nasi biurokraci z *Unii Europejskiej*, którzy domagają się dla każdego z delegatów zespołu tłumaczy. Nauczenie się kilku języków obcych jest możliwe – kto tego nie potrafi, nie powinien wybierać się do Europy!).

Praca misyjna, a nawet praca nauczycielska w Rosji, ciągle napotykała przeszkody. Słyszając *niet* dla Polaków i katolików, matka Urszula dyskretnie wycofała się na obrzeża imperium – do Finlandii. W Karelii, należącej wówczas do Rosji, nad Zatoką Fińską założyła szkołę z internatem dla dziewcząt. Placówkę nazwano Merentahti (Gwiazda Morza) na cześć Matki Bożej. Pracując w środowisku Finów, członków kościoła luteranckiego, rozpoczęła dialog ekumeniczny – zapraszając Finów na nabożeństwa i spotkania oraz utrzymując serdeczne kontakty z rodzinami swoich uczennic. Ta aktywność nie mogła się podobać carskim urzędnikom. W 1914 r., w przededniu wybuchu wojny, Urszula została wyrzucona z Rosji. Chcąc utrzymać kontakt z placówkami w Petersburgu i Karelii, wyjeżdża do Szwecji i zatrzymuje się w Sztokholmie. Po czątki są trudne. Trzeba nauczyć się języka i zacząć zarabiać na utrzymanie i prowadzenie misji. Jak zwykle przydaje się znajomość języków obcych. Matka Urszula daje lekcje pannom z dobrych szwedzkich domów – jednocześnie sama uczy się szwedzkiego. Pod Sztokholmem powstaje wkrótce szkoła języków obcych (w 1917 r. przeniesiona do Danii). Obok szkoły powstaje tam ochronka dla sierot po polskich imigrantach.

Pierwszy krok na obcym terenie to intensywna nauka języka duńskiego: *...Gdy dwa lata temu mówiłam tu po szwedzku, wielu nie chciało przyjść, bo myśleli, że mnie nie rozumieją. Ale teraz, gdy los tysięcy polskich dzieci jest przedmiotem mojej troski, teraz ludzie muszą mnie zrozumieć. I dlatego postanowiłam dwa miesiące temu nauczyć się*

duńskiego języka i w tym celu zasiadłam jak dziecko w ławce szkolnej – mówiła m. Urszula w czasie jednego ze swoich kopenhaskich odczytów.

Nie mając stałego źródła dochodu ani majątku, przemierzyła kraje skandynawskie z serią odczytów o Polsce. W ciągu trzech lat wygłosiła około osiemdziesięciu wykładów, odczytów i konferencji w Szwecji, Danii i Norwegii. Ich celem było przybliżenie polskiej historii i kultury oraz budowanie dla Polski europejskiego *lobby*. Przy okazji stale zabiegała o fundusze. Nie z *Unii Europejskiej* (która wtedy nie istniała), lecz od osób prywatnych. Na ochronki dla dzieci polskich emigrantów, na internaty i szkoły. Pierwsza siedziba wspólnoty urszulańskiej w niepodległej Polsce, w Pniewach k. Poznania, powstała za pieniądze europejskie. Ufundował ją konsul Norwegii Stolt-Nielsen...

...Dzieci śpią po części na słomie, siostry też, ale to nic, jesteśmy już u siebie, w domu, w Polsce. Jaki urok w tych słowach: Polska, Ojczyzna – pisała matka Urszula w jednym z artykułów dla młodzieży. *Czy teraz można znaleźć podobnie napisane artykuły dla młodzieży? W kolorowych magazynach i telewizji wciąż słychać zachwyty nad Brukselą i zjednoczoną Europą, pokazywaną jako swoisty raj na ziemi. Na tym tle Polska wypada szaro i ubogo.*

– *O czym marzysz? – Marzę o tym, żeby wyjechać za granicę...* powtarzają młodzi ludzie. Powtarzają za *Gazetą Wyborczą*, za telewizorem, za nauczycielem...

– *Co chciałbyś tam robić?* – Bo jak dotąd, największe jest zapotrzebowanie na pracę kelnerki, kucharki i opiekunki dla dzieci. Kwitnie rynek prostytutki z krajów Europy Wschodniej. Studia są kosztowne. Utrzymanie bardzo drogie...

Zabrakło osób na miarę matki Urszuli Leduchowskiej, które potrafiłyby zabiegać o interesy Polski w Europie. Brakuje rzetelnych dziennikarzy, uczciwej informacji, dobrych nauczycieli... Wszystko przesłania hałaśliwa propaganda... *Do Unii! Do Unii! Do Unii!*

Po nas choćby potop...

II WOJNA ŚWIATOWA

*Sosny zapamiętały dzieje waszej zbrodni
te salwy wiecznie będą huczały w ich szumie.
Kiedyś, po latach stanie tutaj ktoś z przechodni.
Zasłucha się w śpiew koron i głos ich zrozumie...
Franciszek Fenikowski, *Wrzósy**

Piaśniccy Męczennicy

Gdy słucham moich znajomych liczących, z dziwnym podnieceniem, amerykańskie lotniskowce wypływające w rejon Zatoki Perskiej, lub mówiących: po co nam kolejny wojenny film?, gdy oglądam w telewizji efekty kolejnego ataku terrorystycznego, przed moimi oczami stają lasy Piaśnicy.

Piaśnica leży niecałe 10 kilometrów od Wejherowa. Wraz z przyjaciółmi wybieram się tam piechotą.

Początkowo droga wiedzie doliną Redy. Władze terenowe zadbały o potencjalnych turystów, mijamy więc co jakiś czas nowiuteńkie tablice informacyjne z opisami lokalnego krajobrazu. Jest okazja do zrobienia kilku ciekawych zdjęć. Następnie wchodzimy na zielony szlak. Wiedzie nas przez las. Tu i ówdzie musimy pokonywać powalone drzewa. Niemal wszyscy zajęci są rozmową. Tematów jest sporo. Powodów do wesołego śmiechu też. Zaczynamy zatrzymywać się nad mogiłami. Pośród drzew, dalej i bliżej, migoczą lampki, to kolejne mogiły. Próbujemy policzyć je wszystkie, szybko tracimy rachubę, przytłoczeni ich ogromem. Groby rozrzucone są na obszarze 250 hektarów lasów piaśnickich.

W odległości około 10 km od Wejherowa, po lewej stronie szosy krokowskiej od połowy października 1939 r. do kwietnia 1940 r. została popełniona przez hitlerowców zbrodnia określona jako największa na Pomorzu i pierwsza na tak dużą skalę w Europie. Liczbę ofiar szacuje się od 12 do 14 tysięcy. Wśród skazanych na śmierć byli przedstawiciele wszystkich warstw społeczeństwa i zawodów, zaangażowani w działalność polityczną, społeczno-kulturalną, religijną, oświatową na rzecz II Rzeczypospolitej Polskiej w latach

1920 – 1939. Do dzisiaj zidentyfikowano 459 osób (nauczycieli, duchownych, członków administracji państwowej i samorządowej, robotników i chłopów, członków polskich stowarzyszeń itp.), które były, m.in. mieszkańcami Wejherowa, Pucka, Gdyni, Gdańska, Redy, Rumi, Kartuz i okolic. W miejscu tym zamordowano także przywiezione z głębi III Rzeszy tysiące rodzin polskich i niemieckich uznanych za przeciwników reżimu hitlerowskiego oraz około 2000 osób psychicznie chorych z zakładów zachodnio-pomorskich.

Głównymi organizatorami tych zbrodni byli między innymi: obersturmbannführer Paul Koepke z Polczyna, niemiecki burmistrz Pucka Bunsch, hrabia von Krockow junior oraz znający te tereny leśniczy Stoeckel z pobliskiego Warszkowa. Większość sprawców zbrodni należąca do *SS* i działająca w specjalnych jednostkach *Wachstrumbann Eimann Einsatzkomando 16*, przeprowadzających na terenie byłego Wolnego Miasta Gdańska i Pomorza akcje masowych aresztowań i egzekucji, nie została rozpoznana i uniknęła odpowiedzialności karnej.

Wśród zamordowanych na cmentarzu spoczywa także siostra Alicja Kottowska, którą 13 czerwca 1999 roku Ojciec Święty Jan Paweł II beatyfikował w gronie *108 Męczenników II wojny światowej*. Jest pierwszą beatyfikowaną zamartwychwstanką. Ostatnie lata

swojego życia spędziła w Wejherowie jako przełożona sióstr i dyrektorka liceum zamartwychwstank. Została rozstrzelana 11 listopada 1939 roku w lasach Piaśnicy. Jej męczeńska śmierć była uświetnieniem życia zgodnego z dewizą Zgromadzenia: *Przez krzyż i śmierć do zamartwychwstania i chwaly*.

Dalej wędrujemy w zamyśleniu, w skupieniu. Zatrzymując się nad zbiorowymi mogiłami, odmawiamy Różaniec. Są zadbane, uporządkowane, oświetlone blaskiem zniczy. Sprawujemy w intencji pomordowanych Drogę Krzyżową. W jaki sposób opowiadać o tym miejscu, o ludziach, którzy są tu pochowani? Myślę o tym przez cały czas. Każde słowo i liczba określa i zamyka ludzkie istnienie w niezgrabne ramki.

Po wojnie w 1946 r. z inicjatywy *Polskiego Związku Zachodniego* w Wejherowie przeprowadzono ekshumację, w wyniku której (spośród 35 masowych grobów) odnaleziono i odkopano 30, a zbadano 26. Tylko w dwóch grobach znajdowały się zwłoki 305 rozstrzelanych. Pozostałe zwłoki hitlerowcy spalili w sierpniu i wrześniu 1944 r., by zatrzeć ślady zbrodni. Do najcięższych prac użyli więźniów obozu koncentracyjnego Stutthof, których po wykonaniu zadania zamordowano, i których ciała spalono. O tej akcji świadczą odnalezione 1962 roku dwa paleniska i nowo odkryty grób. Ludność Pomorza, a szczególnie rodziny pomordowanych otoczyły opieką *Leśny cmentarz*, oddając hołd i zachowując pamięć o pomordowanych. Każdego roku w Piaśnicy gromadzą się rodziny, krewni, znajomi na uroczystościach patriotyczno-religijnych. Towarzyszą im wierni pielgrzymujący z kościołów pw. Świętej Trójcy i Chrystusa Króla w Wejherowie. Duszpasterstwo Akademickie organizuje 11 listopada pielgrzymkę akademicką (w 2002 roku była to już XXXIII Pielgrzymka).

Od 1989 roku działa *Spoleczny Komitet Opieki nad Mogiłami Piaśnicy* w Wejherowie, którego prezesem jest ks. kanonik Bogusław Żurawski. Z inicjatywy tego komitetu budowano z kamieni Drogę Krzyżową w celu uczcze-

nia marszu śmierci zamordowanych. A w latach 1992 – 1993 powstał ołtarz polowy i pomnik poświęcony zamordowanym dzieciom. Przy parafii pod wezwaniem Chrystusa Króla w Wejherowie powstało, w 1996 r., Stowarzyszenie *Rodzina Piaśnicka* zrzeszające rodziny pomordowanych i osoby identyfikujące się z ich celami, które pragną przyczynić się do zachowania wiedzy i pamięci przez kolejne pokolenia o mieszkańcach Kaszub i Pomorza zamordowanych w Piaśnicy. Stowarzyszenie organizuje spotkania z młodzieżą, prowadzi działalność oświatową i wydawniczą. W kościele pod wezwaniem Chrystusa Króla znajduje się kaplica Matki Boskiej Królowej Męczenników upamiętniająca cierpienia Polaków, którzy zginęli za Wiarę i Ojczyznę. Dekretem ks. arcybiskupa Tadeusza Gocłowskiego z dnia 1995 r. groby lasów Piaśnickich zostały przyłączone do parafii pod wezwaniem Chrystusa Króla w Wejherowie i wraz z kaplicą stanowią Sanktuarium Męczenników Piaśnickich.

Skupiamy się na wspólnej modlitwie

Marta Damasiewicz



Tab. P. Żywieński

SŁOWNIK OD „Z” DO „A”

Cywilizacja

Świat nie jest Kościołem. Wszelka próba zastąpienia świata Kościołem byłaby kolejną groźną utopią. Więź właściwa wspólnocie Kościoła nie zastępuje innych więzi, tylko je przemienia. Wprawdzie więc państwa, instytucje i organizacje w zestawieniu z tą najgłębszą wspólnotą tracą swoją pierwszoplanową rolę, ale nie znikają z pola widzenia.

I dobrze. Po złowiekowi XXI wieku potrzebna jest wspólnota życia angażująca jego całego i całą jego cywilizację. Cywilizacja zaś obejmuje wiedzę i umiejętności w jednakowej mierze potrzebne chrześcijanom i niechrześcijanom. Na pierwszym miejscu jest umiejętność rozpoznawania wnętrza i całościowego kontekstu drugiego człowieka – jego doświadczeń, myśli, planów, oczekiwań i potrzeb. Na drugim miejscu jest zdolność komunikowania myśli i wymian wszelkiego rodzaju dóbr. Na trzecim miejscu jest zdolność takiego porządkowania rzeczy, że zastany nieład staje się pożytecznym ładem. Nazywa się to twórczością.

Postęp cywilizacji dokonuje się głównie w tych właśnie sferach. Te umiejętności wynikające z indywidualnego doświadczenia w połączeniu z nowoczesnymi technikami pozwalają budować więzi społeczne i niszczyć je, pozwalają pomagać bliźnim i ich unicestwiać. Wszystko zależy od tego, czy ta autonomiczna, doczesna cywilizacja jest przeniknięta więzią bezinteresownej miłości, czyli komunii. Dlatego pełnia rozwoju ludzkiego łączy w sobie cnoty w tradycji Kościoła zwane boskimi, nadprzyrodzonymi oraz cnoty ludzkie – innowacyjność, odwagę, komunikatywność, otwartość, uczciwość, szczerłość, rozwagę, spokój, łagodność i wiele innych. Wszystkie te cnoty mają bezpośrednio lub pośrednio charakter społeczny, są nastawione na bliźniego.

MM

Marta Sieciechowicz

Duch ojcostwa

Ojcostwo to najprostsza logika życia – pisze w liście otwartym Stołeczne Stowarzyszenie Obrony Praw Ojca. Samotni ojcowie ze Stowarzyszenia skarżą się w nim na dyskryminację w sądach rodzinnych, które w 95 proc. przypadków przyznają dziecku matce. Faktem też jest, że polskie sądownictwo jest sfeminizowane prawie w 100 procentach.

Czym jest ojcostwo? Macierzyństwo można, mniej więcej, zrozumieć – 9-miesięczna ciąża, poród, karmienie piersią. Czy rola ojca ogranicza się tylko do współudziału w akcie poczęcia nowego życia?

Bardzo się ucieszyłem na wiadomość, że żona jest w ciąży – mówi Marek Miller, reportażysta i dyrektor *Szkoły Reportażu* w Warszawie. – Wiedziałem już, że to jest jedno z najważniejszych doświadczeń – przedłużanie życia w nieskończoność. Posiadanie dziecka, i to w dodatku w wieku dojrzałym, jest zobaczeniem świata z innej strony, być może najważniejszej...

Na początku

Więć ojca z dzieckiem rozpoczyna się już w chwili poczęcia, choć nie jest tak namacalna jak ciąża matki. Ważnym momentem jest chwila narodzin dziecka.

M. Miller: – Kiedyś byłem na ostrym dyżurze w szpitalu św. Mateusza na Manhattanie w Nowym Jorku. Widziałem tam wszystko, co dotyczyło porodów. Tam rozumiałem, że poród jest taką rzeczą, jak płacz lub kichanie, tzn. jest rzeczą naturalną i oczywistą, bo rodzi się człowiek, czyli kosmos i wszechświat. Kiedy przyszło do porodu mojej żony, było oczywiste, że będę przy tym obecny, ale sprawą decydującą było to, że żona chciała, abym przy niej był, ponieważ dziecko jest następstwem naszej miłości. Chodziliśmy do szkoły rodzenia profesora Włodzimierza Fijałkowskiego, wybitnego lekarza i wierzącego katolika. W tej szkole rzeczywiście rodzi się razem, a wspólne przeżywanie tej chwili pogłębia więź między ludźmi. Mężczyźni często mówią: *no dobrze, ona rodzi, a ty co, gapisz się?* To jest opinia kogoś, kto nie wie, o czym mówi. Mężczyzna trzyma kobietę za rękę i przede wszystkim pomaga jej oddychać, co pozwala jej bezpiecznie, zdrowo i szybko urodzić dziecko. Moja żona rodziła wspaniale,

bo jej porody nie trwały dłużej niż 15-20 minut. Po urodzeniu się dziecka lekarze, po umyciu go i zawiązaniu pępowiny, kładą na brzuchu matki, co jest genialną sceną, bo większość tych przeżyć jest nie do przekazania słowami, np. to, że nie jesteśmy już we dwoje, a we troje, potem czworo. Jest to przeżycie metafizyczne, które oddziałuje także na innych...

Samemu

Do widoku samotnej matki zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Z jakimi problemami musi borykać się samotny ojciec? – Przed rozwodem ustaliliśmy z byłą żoną, z kim zostają dzieci, że ona płaci alimenty, a ja nie ograniczam jej kontaktów z dziećmi – mówi Marek Kozik, ojciec dwojga dzieci, dyrektor *Państwowego Domu Dziecka* w Świebodzinie. – Można powiedzieć, że wykrakalem sobie taką przyszłość, bo kiedy urodziła się moja córka, to mówiłem, że moja żona już wypełniła obowiązek i teraz może sobie dać spokój, a ja zajmę się resztą. Była żona szybko wróciła do pracy, a ja pracowałem po południu, więc przejąłem jej obowiązki. Ojciec może zastąpić matkę w funkcjach typowo fizycznych – sprzątanie, gotowanie, organizacja domu, ale nie mam złudzeń co do tego, że jest to sytuacja nienaturalna i niedoskonała...

Dziecko w domu

Czy ojciec jest potrzebny matce i dziecku w pierwszych dniach i latach po narodzinach? Czy może jego rola ogranicza się raczej do spraw technicznych, jak przyniesienie pieniędzy do domu?

M. Miller: – Kiedy dziecko przychodzi do domu, następuje szok. Małżeństwo

sprawdza się w chwili przyjścia dziecka na świat, bo tu się kończy zabawa, a zaczyna się odpowiedzialność za dziecko, które jest zdane całkowicie na mnie. Przy pierwszym dziecku nie mieliśmy żadnego doświadczenia, baliśmy się, czy się nie udusi w nocy, czy ma leżeć na boku, czy na plecach, czy dobrze ssie pierś, bo robią się zatory (a co to są zatory?) itd. Często byłem na granicy wyczerpania fizycznego i psychicznego, ale to bardzo szybko mijalo. Przyszło cudowne poczucie, że rodzi się rodzina, bo tylko szum domu, w którym są dzieci, daje pojęcie domu. Dzieci powinno być co najmniej troje-czworo, bo dopiero wtedy rodzina nabiera głębszego sensu. U mnie nastąpiło to dosyć późno, ale dziękuję Bogu, że mam dwoje dzieci...

M. Kozik: – Mojego syna trzymam krótko, ale w zamian proponuję mu wiele rzeczy. Właściwie nie mam z nim większych problemów, chociaż jest w okresie dojrzywania. Wszystko robiliśmy wspólnie, a że interesujemy się sportem i turystyką, to nawiązujemy kontakt. Dzisiaj zaczyna się interesować dziewczynami i widzę, jak powoli ode mnie odchodzi. To samo jest z córką, która ma już swoją sympatię, ale dla taty córka zawsze jest małą dziewczynką...

Zmiany

Czasami się mówi, że matka jest silniej związana z dzieckiem niż ojciec, którego rola sprowadza się do bycia głową rodziny i niedzielnych spacerów.

M. Miller: – Pierwsze półtora roku jest wielkie i piękne, ale trudne, zwłaszcza przy moim twórczym zawodzie, kiedy następuje konflikt między rolą ojca a dziennikarza. Jednak dzieci nie przeszkadzają mi w twórczości, są bazą. Bez nich nie poznałbym pewnych aspektów życia. Dzieci pomagają małżeństwu być dobrym małżeństwem. Przeżywamy życie jeszcze raz – jeszcze raz idziemy do szkoły, jeszcze raz zdajemy klasówki, zakochujemy się, przeżywamy pierwsze bale. Rola ojca coraz bardziej mnie interesuje, bo dzieci mają już po 9 i 12 lat i nie wykonuję tylko czynności podstawowych w rodzaju przyniesienia zakupów czy prasowania pieluch...

M. Kozik: – Czasami, kiedy zmęczony wracam do domu i próbuję coś na-

rzucić dzieciom, moja córka mówi – *tato, nie jesteś w Domu Dziecka*. W domu dziecka wychowanie jest bardziej nakazowe i kiedy próbuję to stosować w domu, córka ma odwagę mi to powiedzieć. A ja słucham mojej córki. Jako dyrektor domu dziecka pełnię funkcję administracyjną, ale kiedy mam dyżur w grupie, to bardzo pilnuję, aby poświęcić ten czas dzieciom, a nie na załatwianie spraw służbowych...

Ojciec trochę inaczej

W Kościele od dwóch tysięcy lat istnieje pojęcie ojcostwa duchowego. Pierwszym ojcem duchowym był Jezus Chrystus, a w Jego ślady poszli inni – anachoreci, wielcy święci – i to dzięki nim Kościół wciąż się odradza.

– Ojcostwo duchowe to nic innego jak *rodzenie dzieci dla Boga* – mówi ksiądz doktor Mirosław Cholewa, od dziesięciu lat ojciec duchowy Warszawskiego Metropolitalnego Seminarium Duchownego w Warszawie. – Jest to oczywiście urząd w seminarium, ale także, w sensie obiektywnym i głębokim, staje się ojcem duchowym dla kleryków, którzy nabierają do mnie coraz większego zaufania i dopuszczają do swojego sumienia, gdzie najgłębiej człowiek spotyka się z Bogiem...

Pojęcie ojca duchowego lub duchowego stosuje się zamiennie z *kierownikiem duchowym*. Nie jest to jednak tożsame ze spowiednikiem.

Ks. M. Cholewa: – *Moją najważniejszą rolą jest towarzyszenie klerikom w ich problemach, rozterkach, pomagam im rozemnieć, czy rzeczywiście mają powołanie, wprowadzam ich w modlitwę, pomagam uleczyć zranienia z dzieciństwa*. Spowiednikowi mówią o swoich grzechach, a mnie o swoich uczuciach. Ale wszystko zależy od kleryka, czy chce się otworzyć na takie towarzyszenie, czy nie...

Zastanawiające, że dzisiaj coraz więcej ludzi świeckich szuka kierownika duchowego, mówi się wręcz o *odrodzeniu duchowym*, o poszukiwaniu czegoś więcej niż promocji w *supermarketach*. – *Ja też mam kierownika duchowego – dodaje ks. Cholewa – bo nie może być dobrym ojcem ten, kto nie jest najpierw synem.* ■

Monika Przybysz

Telepokolenie

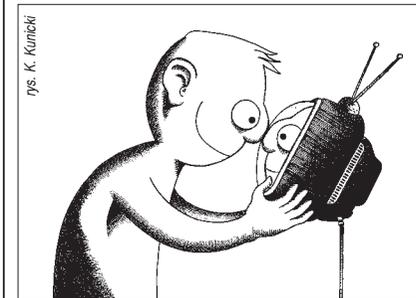
Powakacyjny zapał, radość i wypoczynek mogą bardzo szybko opaść, gdy wtłoczymy się ponownie w ramy schematu opartego na propozycjach telewizyjnej ramówki. Gdy po przyjściu z pracy, ze szkoły nadal będziemy zachowywali się jak roboty i siadali przed ekranem telewizora, by wcisnąć magiczny czerwony przycisk, nie dokonamy żadnych zmian w rytmie naszego życia. Znowu nic ciekawego w naszym życiu dziać się nie będzie i w ciągu miesiąca stanemy się marudnymi i nieszcześliwymi pracownikami oraz uczniami. Czasem jednak warto spróbować wyjść z rutyny (która wedle powiedzenia zabija wszelki entuzjazm), co może zaowocować radością.

Polacy urodzeni w czasach, gdy życie ludzkie zaczęło się koncentrować wokół telewizora, (nieco później także i wokół komputera) mają obecnie najwyższe po 13-14 lat. Nie sposób ze stu procentową pewnością powiedzieć na razie, co z tego *elektronicznego* pokolenia wyrośnie. Chowana przez *nianię-telewizor* i *nianię-komputer* generacja młodych ludzi swój plon obfity wyda za parę lat, gdy sama podejmie próbę wychowywania następnego pokolenia.

Przewidywania te nie są jednak optymistyczne. Część skutków ciągłego obcowania z telewizją widać już na przykładzie dorosłych, którzy przez ostatnie kilkanaście lat *rosli się* z telewizją. Polacy, którzy w *stanie wojennym* w czasie emisji *Dziennika Telewizyjnego* demonstracyjnie wychodzili na spacer, na znak sprzeciwu wobec komunistycznej propagandy i partyjnej agitacji, w pierwszych latach nowego ustroju i początków medialnej wolności tłumnie zasiadali przed ekranami i zaprzyjaźniali się

z tym medium coraz bardziej. Obawy o przyszłość młodych ludzi rodzą się z obserwacji przyklejonych do ekranów monitorów twarzy naszych dzieci, które potrafią całymi godzinami wpatrywać się w migające obrazy. Trudno obecnie spędzać czas na wieczornym spacerze i nie zauważać niebieskich poświat migających niemalże w każdym domu. Polacy siedzą przed telewizorami i komputerami całymi godzinami.

Początki lat dziewięćdziesiątych to czas, kiedy naród chłonał, jak ziemia wodę po suszy, miliony przekazów w obrazie, dźwięku, druku i ruchu. Polacy utworzyli wówczas na oścież nie tylko głowy, lecz także serca. Przeswajaliśmy niemalże wszystko, co było kolorowe, albo pochodziło z *Zachodu*, kolarzającego się początkowo z biblijnym rajem. Pompowano w nas wówczas różne cuda – my zaś nie byliśmy zaopatrzeni w żadne filtry. Wlało się w nas przez to sporo medialnych śmieci. Wchłonęliśmy *zarazę* nie przetrawionej informacyjnej papki, której nie potrafimy ani zanalizować, ani zapamiętać. Dzięki wiadomościom telewizyjnym bardzo szybko powstał przed naszymi oczami świat pełen katastrofizm bez cienia nadziei. Wysłuchaliśmy milionów informacji o wypadkach, pożarach, ofiarach śmiertelnych... (nawet ⇨



rys. K. Kumbóki

tach, w których nie uczestniczyli Polacy). Oglądaliśmy to wszystko, czy trzeba, czy nie trzeba. Bombardowanie *newsami* – często bardzo krwawymi i drastycznymi – zszargało nasze nerwy, sfrustrowało nas, spowodowało stany otępienia i braku zaangażowania ludzi w jakąkolwiek aktywność życiową. Można było wysnuć wniosek, że hasłem naczelnym dziennikarzy w wolnej Polsce stało się popularne stwierdzenie: *Nic tak nie ożywia gazety, jak krew na pierwszej stronie*.

Elementów kultury audiowizualnej, dostarczającej *odpadów* – programów niskiej jakości podawanych do bezrefleksyjnego wchłonięcia, pojawiło się wiele. Taka niby niewinna rozrywka, która trwa niczym nie kończąca się opowieść. Zaczynamy żyć cudzym życiem. Podglądamy, przeżywamy, opowiadamy z przejęciem o losach bohaterów seriali brazylijsko-argentyńsko-malezyjsko-hiszpańsko-portugalsko-meksykańsko... – *Pan Bóg jeden wie, jeszcze jakich...* A przecież zapasy życiowej energii nie są niewyczerpane. Jeśli wczuwamy się w zawile losy fikcyjnych bohaterów, nie mamy już siły na angażowanie się w swoją skomplikowaną codzienność. A przecież rzecz dotyczy milionów polskich żon, które te seriale oglądają, a czasem wciągają w to także i mężów. Zdarzają się nawet *tasiemce* przyzwyczajonej jakości. Tyle tylko, że fani seriali mają po kilka ulubionych i nieopuszczają żadnego odcinka. Brakuje chęci i energii do dzielenia się problemami realnego życia. Zachęcenie najbliższej osoby, aby podzieliła się troskami, spędzającymi sen z powiek i powodującymi wrzody na żołądku, wydaje się już tak trudne, że aż niemożliwe. Nie ma ochoty, czasu, pomysłu, jak z medyczny wyciągnąć troski, które go gnębią. Bo trzeba by się było wówczas zmierzyć z problemem. Lepiej więc nie pytać, nie zauważać, lepiej *pooglądać telewizję*. Kobiety bronią seriali, bo *przebież to samo życie*. Tylko dlaczego nagle okazuje się, że syn zostaje w szkole oskarżony o branie narkotyków, mąż ma takie kłopoty finansowe, że trzeba będzie sprzedać samochód, córka zaczęła

pać i pić nalogowo... Bliscy sobie niedyś ludzie nagle stali się dla siebie zbyt trudni do zaakceptowania, dzieci z aniołków przerodziły się w nieznosne i niewiedzące stworzenia. Część medialnej truczyny, która się w nas wlała, obecnie zostaje *wypluwana* przez umysł w postaci agresji czy braku emocjonalnej równowagi. To tylko niektóre skutki odczuwane przez dorosłe pokolenie w kraju wyzwolonym od komunizmu, w którym wolność osądu odbiera ludziom przekonanie o prawdziwości telewizji. Dodatkowy problem polega na tym, iż media nigdy nie dadzą nam się wyciszyć, póki sami nie zainstalujemy specjalnych *filtrów* i w ten sposób nie oczyścimy się z ich negatywnego oddziaływania.

Telewizja stała się w niejednej rodzinie *nianią* dla dzieci. Początek wyglądał bardzo niewinnie. Dzieci stały się mniej kłopotliwe, zajmowały mniej czasu zagonionym w pędzie zarabiania pieniędzy dorosłym. Z czasem rozmowy w rodzinie ustały, bowiem okazały się *stratą czasu* wobec tylu *ciekawych rzeczy* w telewizji. Dzieci w wielu polskich domach prawie w ogóle przestały działać, doświadczać i tworzyć, a jedynie biernie oglądały. Rodzice wydają się być nawet zadowoleni z tego faktu, że ich pociechy są zajęte oglądaniem telewizji, a oni mają czas dla siebie i na wiele rozrywek. Dlatego ponad 40 proc. maluchów posiada w swoim pokoju telewizor. Zmęczeni po pracy dorośli dołączają do tego rytuału patrzenia, oglądając program dla dorosłych w sąsiednim pokoju. Często nawet nie wiedzą, że programy, które wybierają ich maluchy, nie są wcale propozycjami dla nich przeznaczonymi. To dzieci obecnie dokonują selekcji propozycji, pozostawiane sam na sam z magicznym ekranem, oglądając to, co wydaje się im atrakcyjne... a potem przez kilka nocy nie mogą zasnąć, budzą się z krzykiem, przestraszone mają problemy z zasypianiem w ciemności, bo nękane są obecnością w filmach przemocą, z którą nie dają sobie emocjonalnie rady.

Fenomen zjawiska popularności książek z przygodami małego czarno-

księżnika wskazuje na wielki głód narracji, opowiadania i baśniowości w życiu każdego człowieka. Po tę książkę sięgnęli bowiem zarówno *mali*, jak i *duzi* – także ci zapracowani, zabiegani i ciągle zajęci. Twórcom medialnego sukcesu promocji Harry'ego Pottera, na którą wydano wiele milionów dolarów, pokazuje jednak, że możliwe jest stworzenie mody na czytanie. Wciągająca, choć tak naprawdę przeciętna literacko, książka pokazała światu, że dotychczasowe wymówki o spadku zainteresowania książkami można przezwyciężyć. Ważną rolę w tej wielkiej machinie komercyjnej *potteromanii* odegrał także marketing wirusowy, czyli polecenie sobie, a nawet wzajemne pożyczanie kolejnych tomów przygód czarodzieja. Być może taka metoda sprawdziłaby się również, gdyby zastosować mechanizm oddadł, gdyby dorośli polecali ciekawe książki swoim dzieciom. Wiarygodność rodziców w tym przypadku opiera się jednak na świadectwie ich czytelnicstwa. Na nie zachęcanie dzieci do czytania, gdy dorośli będą jedynie przeglądali kolorowe czasopisma.

Czas na czytanie można łatwo znaleźć, ograniczając bezmyślne oglądanie telewizji pożerającej czas od chwili powrotu do domu aż po późne godziny nocne. Wymówki ekonomiczne słabną wobec faktu istnienia bibliotek. Nie trzeba książek kupować, a ich wypożyczenie nic nie kosztuje. Książki zaś, jak się okazuje, mogą bardzo pomagać. Albert Einstein, pytany o drogę do rozwoju człowieka, wskazał przede wszystkim na jedną rzecz: *Jeżeli chcecie, aby wasze dzieci były zdolne i inteligentne, opowiadajcie im bajki. Jeżeli chcecie, aby były genialne, opowiadajcie im więcej bajek...* To zdanie trzeba byłoby jedynie uzupełnić o krótkie dopowiedzenie – abyśmy mogli opowiadać dzieciom bajki, najpierw sami musimy je przeczytać i rozwinąć wyobraźnię. Zdaniem wielu naukowców, aby dziecko prawidłowo się rozwijało, należy poświęcać mu czas, ale także wspólnie przebywać z nim w świecie opowiadania, wyobraźni i narracji.

Monika Przybysz

XIX MŁODZIEŻOWA PIELGRZYMKA O TRZEŻWOŚĆ NARODU

Wasz wysiłek jest potrzebny. Wasze zmęczenie nie idzie na marne. Potrzebne są te umęczone słońcem twarze, wasze bolące nogi. To wszystko jest potrzebne, żeby ratować tych, którzy toną w powodzi alkoholizmu. Takimi słowami witał młodych pielgrzymów proboszcz jednej z wielu parafii na trasie XIX Młodzieżowej Pielgrzymki o Trzeźwość Narodu, zorganizowanej tradycyjnie przez Zgromadzenie Księżki Michalitów. Może to zbyt wielkie słowa, bo ta pielgrzymka to około 200 młodych osób, kilku księży, kleryków, siostra zakonna. Cóż to w porównaniu z tysiącami upijających się Polaków...

Małe cuda dodają skrzydeł

dk. Rafał Kamiński CSMA

Pielgrzymkowa siła

Od dziewiętnastu lat szlak z Warszawy do Miejsca Piastowego pokonuje młodzież z całego kraju. Każdego roku przez pierwsze dwa tygodnie lipca przemierza pieszko ponad 400 kilometrów. To nie lada wysiłek.

W tym roku młodzi z Warszawy, Wołomina, Lublina, Krosna, Jasła i wielu innych zakątków kraju wyruszyli pod hasłem: *Chcemy umiłować Jezusa*. To kolejny krok z programu, jaki wyznaczył Jan Paweł II na trzecie tysiąclecie chrześcijaństwa.

To pielgrzymka od grobu prymasa Wyszyńskiego do grobu ks. Markiewicza, by wydobyć z grobu pijaństwa całe rodziny – mówił ks. Sylwester Łącki CSMA w warszawskiej katedrze, skąd 1 lipca wyruszyli pątnicy. *Od grobu* – ponieważ wędrówka zaczyna się przy sarkofagu Śługi Bożego Kard. Stefana Wyszyńskiego, *do grobu* – bo szlak kończy się w Miejscu Piastowym, przy grobie Czcigodnego Śługi Bożego ks. Bronisława Markiewicza, założyciela michalitów.

Godziny marszu upływają szybko. Jest wiele śpiewu, codzienna Eucharystia, *pigułka świętości* – czyli sylwetka młodego świętego na każdy dzień, konferencja, trzy części różańca. Najbardziej wruszająca jest ostatnia część, w czasie której czytane są intencje zapisane na karteczkach. To właśnie wtedy można zobaczyć kawałek pielgrzymiego serca, które niesie różne sprawy: *Mateczko, proszę Cię, wyzwól mojego tatę z nalogu pijaństwa;*

Panie, pokaż memu bratu i jego kolegom, że droga, którą idą, nie prowadzi do szczęścia; Matko, dodaj mi sił do znoszenia koszmaru w moim domu; Błagaj twego Syna o cud przemiany dla mojej mamy. Daj jej siłę do wytrwania w trzeźwości... To tylko niektóre z tegorocznych prób. Do tej litanii dopisują się prośby o modlitwę mieszkańców wiosek, w których nocują utrudzeni pątnicy. Matki, żony, teściowie, niezręcznie ze łzami w oczach, polecają swoich bliskich, dla których alkohol stał się ważniejszy niż rodzina. Są też i łzy szczęścia: bo syn nie pije od ruku, bo mąż pije dużo mniej. Małe cuda, które dodają skrzydeł. W piątym dniu w Cecylówce witają nas uczestnicy kolonii. Rozśpiewane dzieciaki z Sandomierza. Wesołe, chociaż życie ich nie jest tak kolorowe jak kilkanaście kolonijnych dni. To dzieci z rodzin alko-

holików. Wśród nich trzyletnia Marysia, sierota. Matka powiesiła się dzień przed jej wyjazdem na kolonię. Nowe spotkanie i nowe intencje, które trzeba zabrać na szlak...

Radość i zabawa

W tym samym dniu, w puszczy kozińskiej, odbywa się *chrzest pielgrzymka*. Każdy, kto po raz pierwszy przemierza szlak, robi sobie wianek. Przy leśnym potoku czeka już *Jan Chrzciel*, który polewa nowicjuszy, nadając im pielgrzymkowe imiona.

Na koniec dnia, w Słupicy, ognisko i spotkanie z mieszkańcami. Tańce, śpiewy, skecze. Po dziesięciu minutach ani śladu zmęczenia całodziennym marшем. Takich spotkań będzie jeszcze kilka.

We Włostowie tradycyjnie odprawiana jest Msza św. *prymicyjna*. Książd ↗



fol. arch. Pielgrzymki



foto: arch. Pielgrzymki

Grzegorz, który przez kilka lat pielgrzymował jako kleryk, stanął dziś w ornatcie, po drugiej stronie ołtarza. Po Eucharystii musi stać się za- dość tradycji. Od lat na stadionie *Cukrownika Włostów* odbywa się mecz: *Pielgrzymi* kontra *Miejscowi*. Na trybunach komplet kibiców. – *Jaki wynik Książdz przewiduje* – mężczyzna w średnim wieku zagaduje kierownika pielgrzymki, zakładającego piłkarskie buty. *Wygramy* – uśmiecha się ks. Tomasz. Nie myli się. Pielgrzymi wygrywają 3:0. Za dwa dni ognisko w Sarnowie i mecz w Bliznem, tym razem siatkówka i wewnętrzny pojedynk pielgrzymów.

Na półmetku

W Ostrowcu Świętokrzyskim, w kościele Miłosierdzia Bożego modlimy się razem z mieszkańcami. Adorujemy oblicze Jezusa umieszczone na dużej plan-szy. Każdy może podejść i przykleić karteczkę ze swoim imieniem obok twarzy Jezusa. To symboliczne oddanie się Zbawicielowi. Twarz Chrystusa z naszymi imionami będzie nam towarzyszyć już do końca. Rano, po wyjściu z Ostrowca – symboliczny półmetek. Przecięcie wstęgi i całowanie asfaltu. Jeszcze tylko połowa!

pielgrzymka wychodzi z Wielopola Skrzyńskiego, każdy robi krzyżyk. Są różna: małe z patyczków i większe – z du-



żych galezi. Wszystkie na miarę noszące. Pod górkę – do Szufnarowej odpra-

w i a m y
D r o g e
K r z y ż o w ą . Na szczycie, przy kościele, kierownik wbija pamiętkowy gwóźdź w krzyż, który przynieśli tu i ustawili pielgrzymi pierwszej micha-

lickiej pielgrzymki w roku 1984. To już dziewiętnasty gwóźdź. Za rok jubileusz.

Jeszcze nabożeństwo przeblagania: padamy sobie w ramiona ze słowami: *Przepraszam i Dobrze, że jesteś!*

Na *Górkę* w Miejscu Piastowym docieramy 13 lipca o 17.00. To urodziny ks. Markiewicza. Młodzi modlący się o trzeźwość są dla niego prezentem. Uroczysta Eucharystia i Apel Młodzieży przy grobie Apostoła Trzeźwości. Wszyscy składają deklarację dobrego życia. A po Mszy św. wspólna *Agapa*. Radość i dziękczynienie za szczęśliwe osiągnięcie celu.

To jednak nie koniec

Nazajutrz jest jeszcze Jutrznia u sióstr michalitek i ostatnia Msza św. na pielgrzymce. W procesji z darami idą młodzi ludzie, którzy niosą swoje przyrzeczenia. Przyrzekli, że przez rok nie będą spożywać żadnych napojów alkoholowych. Wielu ofiaruje to za swoich bliskich. Jeszcze tylko pożegnanie pielgrzymkowego krzyża pocatunkiem, łzy rozstania tych, którzy przez kilkanaście dni wędrówki byli pielgrzymkową rodziną, i czekanie... *Za rok ruszamy znowu do Miejsca* – obiecuje. Ruszymy – jubileuszowym krokiem.

dk. Rafał Kamiński CSMA

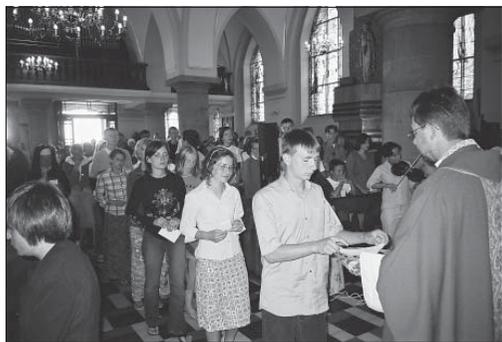


foto: arch. Pielgrzymki

PRZEZ ŻYCIE Z ANIOŁEM

Bernard z Clairvaux

Ojczyzną świętego Bernarda jest Burgundia – piękna krajobrazowo kraina słynąca do dziś z subtelnymi i markowymi win. Młodzieniec ów od najmłodszych lat był wątłego zdrowia. Wcześniej nabawił się choroby żołądka i ta przykra dolegliwość nie opuściła go już do końca życia. Obdarzony refleksyjną naturą skłaniał się ku samotności i większą rozkosz odnajdował w penetracji tajemnic życia wewnętrznego niż w obserwowaniu tego, co działo się w świecie. Idąc z głosem sumienia, w wieku 22 lat, został mnichem w zakonie cysterskim. Poważny wpływ na tę życiową decyzję miała bez wątpienia przedwczesna śmierć matki.

Spokojnie płynęły lata życia klasztornego, choć poza murami działo się bardzo dużo. Kiedy w roku 1143 zmarł (znieczony trzynastoletnią walką z antypapistami) papież Innocenty II, a jego miejsce zajął Celestyn II, wydało się, że kryzys chrześcijaństwa został przerywany. Niestety, nowy papież rządził zaledwie kilka miesięcy, a jego następcą – Lucjusz II – po niecałym roku zginął tragicznie od uderzenia kamieniem w głowę.

W tak trudnych okolicznościach nowym papieżem został uczeń i wychowanek Bernarda. Burgundczyk martwił się, czy jego duchowy syn podał obowiązkom. Przeszkody pojawiły się już na samym początku, gdyż Rzymianie próbowali unieważnić wybór papieża. Eugeniusz III, bo takie imię przyjął nowy następcą św. Piotra, przeniósł się na jakiś czas do Viterbo i tam zaczął sprawować rządy. Tu dotarła kolejna hibernowa wiadomość – o zdobyciu Edessy, przedmurza Jerozolimy, przez Turków. Chryścijan wymordowano, młodsze kobiety sprzedano w jasyr. Czym prędzej należało zatem zorganizować nową wyprawę krzyżową do Ziemi Świętej.

Papież zwrócił się o pomoc militarną do królów: Niemiec (Konrad III) i Francji (Ludwik VII), a o wsparcie duchowe poprosił swego dawnego mistrza Bernarda.

Bernard, wówczas już stateczny opat cysterskiego klasztoru w Clairvaux, siedział w ogrodzie klasztornym i setny raz odczytywał sobie na głos najważniejsze

zdanie z listu Eugeniusza:

– *Ojcze! Błagam o pomoc! Któż inny, jak nie ty, jest w stanie porwać chrześcijańskich rycerzy do walki przeciw niewiernym.*

Bernard rzeczywiście cieszył się powszechnym szacunkiem, zarówno u osób duchownych jak i świeckich. Najchętniej zostałby w klasztorze, ale cóż było robić. Czy mógł nie pospieszyć z pomocą swojemu wychowankowi? Wyruszył zatem rychło w drogę i w płomiennych przemówieniach oraz kazaniach zaczął wzywać do udziału w krucjacie. A słynął z pięknych kazań. Wszak nie bez powodu historia nadała mu tytuł *Doktor Miodopłynny*. Jego głos, choć wydobywał się ze skromnej i niepozornej postury, brzmiał donośnie i pięknie niczym – jak pisał kronikarz – *niebiańskie organy*. Charyzmatyczne wystąpienia w Burgundii, Lotaryngii, Flandrii i Niemczech przyniosły natychmiastowe efekty. Powszechny zapał i entuzjazm udzielił się tysiącom słuchaczy i Bernard mógł wkrótce napisać do papieża:

– *Przemówiłem, jak prosiłeś. Krzyżowcy pomnożyli się w nieskończoność. Całą Francję objął jeden wielki płomień, wszyscy zdrowi gotują się do krucjaty.*

Tam, gdzie nie mógł dotrzeć osobiście, słał listy. Po prawdzie stał się duchowym przywódcą drugiej wyprawy krzyżowej, która wyruszyła pod koniec roku 1147. Arabowie spodziewali się, że krzyżowcy skierują się do Edessy lub Alepo. Tymczasem główna – pierwsza

i ostatnia – bitwa rozpoczęła się w sobotę 24 lipca 1148 r. pod Damaszkem. Po pięciu dniach zmagania zakończyła się przegraną krzyżowców. Na polu walki poległ kwiat chrześcijańskiego rycerstwa. Resztki oddziałów w panice wycofały się do Jerozolimy.

Przegrana była dla Europy jednym wielkim szokiem. Ludzie nie mogli pojąć, jak do tego doszło. Bernarda ta wiadomość omal nie zabiła, chociaż najgorsze miało dopiero nadejść. Pojawiły się, zrazu nieśmiało, potem coraz głośniejsze i bezczelniejsze oskarżenia kierowane przeciwko opatowi z Jasnej Doliny: – *To ty jesteś winny klęsk! Ty wygubiłeś ludzi! Ty namawiałeś i wysłałeś ich na pewną śmierć!*

Oskarżali go wszyscy: rycerze i wdowy, księża i osoby świeckie, bogaci i biedacy, mieszczanie i wieśniacy. On trawił w samotności gorzyc, nie bronił się przeciwko niesprawiedliwym obmowom i szysderstwom. Z czasem pojawiły się głosy biorące Bernarda w obronę, a nawet proponujące nową krucjatę pod jego osobistym dowództwem. Opat z Jasnej Doliny nie miał na to jednak ani sił, ani ochoty:

– *Kim jestem – pisał do papieża – bym zajmował się armią? Cóż bardziej niezgodnego moim powołaniem? Eugeniuszu! Zamierzam napisać dzieło, które mogłoby budować i nieść pocieszenie. Potrzebne to w naszych czasach, kiedy tak wielu mamy oszczerców, a mało obrońców, kiedy wszędzie można uciskają słabych. Nic tak nie odsłania prawdy jak wywód zwięzły i prosty. Dzieło będzie o rozważaniu, które pojmuje jako wysiłek rozumu w dotarciu do prawdy.*

Eugeniusz uszanował wolę swego duchowego mistrza i projekt trzeciej wyprawy krzyżowej został odsunięty. W takich okolicznościach przystąpił do pisania swego ostatniego traktatu *O rozważaniu*, który został zadedykowany papieżowi.

Księga piąta traktatu w dużej części poświęcona została aniołom. Bernard z Clairvaux, i to od lat dziecięcych, często rozmyślał o ich naturze. Jego gorący kult Matki Bożej nie mógł nie iść w parze z kultem anielskim, skoro dobre duchy pojawiały się podczas Zwia-

stowania, Bożego Narodzenia, Wniebowzięcia i wielu innych kluczowych rozdziałów dzieła Zbawienia. Teraz jednak pragnął w swym dziele napisać nieco więcej o naturze aniołów.

Uważał, że byty duchowe są całkowicie pozbawione zmysłów. Mimo to miał ich poznanie za doskonalsze od ludzkiego, gdyż aniołowie widzą wszystko bezpośrednio w Słowie natchnionym. Nie ma lepszego i pełniejszego sposobu poznania.

Po kilku miesiącach pracy nad dziełem napisał do Eugeniusza:

– Życie moje uchodzi kropla po kropli. Z całych sił pragnę jeszcze ukonać swój ostatni traktat. Rozmyślałem o duchach niebieskich. Wiemy, że są one potężne, szczęśliwe, różne jako osoby i podzielone według godności. Dokładnie omawiam w dziele funkcję i urząd każdego z dziewięciu chórów. Musisz bowiem wiedzieć Eugeniuszu, iż anioł zajmuje swoje wyznaczone od prawików miejsce, każdy z nich – niezależnie od godności – jest nieśmiertelny i nie podlega cierpieniom...

Bernard pisał coraz wolniej i z coraz dłuższymi przerwami. Nie mógł już jeść, z trudnością przyjmował pokarmy płynne. Schorowany odbył jeszcze na początku roku 1153 męczącą podróż do Metz, by położyć kres bratobójczym waśniom. Pokojowa misja zakończyła się sukcesem, ale jeszcze bardziej osłabiła, i tak już mizerne siły.

– Czas już abym pożegnał ten świat – pisał do swego ukochanego ucznia. – Nie mogę w ogóle spać. Proszę Zbawiciela, aby nie odwlekał mojego zgonu. O Eugeniuszu! Nasze uczucia pełzają po ziemi. A kiedy pragnienia ślizgają się po błocie, tylko rozważania – słabe i biedne – wlatują. (...) Anioł przezywający w nas pobudza do czynów, ale ich nie sprawia. Zachęca do dobra, ale dobra nie tworzy. Bóg natomiast istnieje w nas w ten sposób, że dokonuje w nas różnorodne dobra, wlewa je w nas niczym dzban wlewa wodę do misy. A zatem anioł stoi przy duszy, Bóg znajduje się w duszy. Anioł jest tylko towarzyszem duszy, Bóg jest życiem.

Herbert Oleschko

RECENZJA

Narodziny Francji

Pragnąc podziwiać grecką starożytność, sięgamy najczęściej do *Dziejów* Herodota, żeby zaś urzecz w pełnej krasie potęgę rzymskiego Imperium – po *Roczniki* Tacyty. Od niedawna mamy też możliwość poznawania, również niejako z pierwszej ręki, czasu narodzin chrześcijańskiej Francji. Wszystko dzięki **Wydawnictwu Benedyktynów** z podkrakowskiego Tynca, które ogłosiło właśnie wiekopomne dzieło **Grzegorza z Tours – Historię Franków**.

Autor (urodzony w roku 538 po n. Chr. w okolicach Clermont) wywodził się ze szlachty galoromańskiej. Wcześniej stracił ojca, toteż jego wychowaniem kierowało dwóch kolejnych miejscowych biskupów Gallus i Avitus. Z pewnością ich wpływ sprawił, iż Grzegorz sam obrał stan duchowny. W wieku dwudziestu pięciu lat został diakonem, a w roku 573 biskupem w Tours. Urząd ten sprawował aż do śmierci w roku 594.

Mimo że Grzegorz nie otrzymał gruntownego wykształcenia w zakresie sztuk wyzwolonych (nad czym sam nie raz ubolewał) i pisał, jak twierdzi wybitny patrolog **ks. Andrzej Bober SJ**, łaciną wyjątkowo lichą i wręcz barbarzyńską, to jednak pozostawił po sobie znaczący, złożony z siedmiu obszernych traktatów, dorobek. Są to przede wszystkim dzieła hagiograficzne, ale znajdujemy wśród nich także i jedną pracę poświęconą astronomii.

Prawdziwym jednak klejnotem okazała się *Historia*, w której równolegle prezentowane są i dzieje państwa leżącego nad Sekwaną, i tamtejszego Kościoła. Pierwsze cztery księgi tego wczesnośredniowiecznego arcydzieła zbudowanego z opowieści, których głównym motywem jest danie przykładu i moralne pouczenie czytelnika, zajmują opis czasów od biblijnego stworzenia świa-

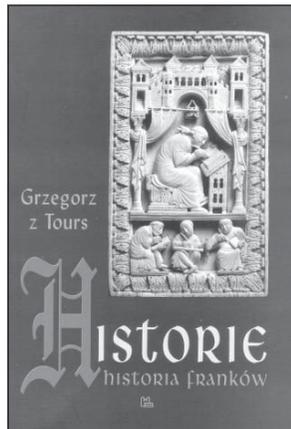
ta, do śmierci św. Marcina z Tours, czyli do roku 397.

Księgi od V do X przynoszą natomiast obraz jedynie dwóch stuleci – piątego i szóstego. To jednak właśnie na nie szczególnie zwracają uwagę znawcy przedmiotu. – *Od piątej księgi wspomnienia i przeżycia autora nadają jej szczególny interes* – pisał wielki filolog łaciński Kazimierz Morawski. A Marian Serejski dodawał: – *Specjalną wartość posiada część kroniki, której treścią są wydarzenia współczesne Grzegorzowi, dobrze mu znane, gdyż w większości z nich brał bezpośredni udział.*

Jak przystało na tak znaczący zabytek europejskiej literatury *Historia* otrzymała wspaniałe opracowanie merytoryczne, którego autorem jest **Dariusz Andrzej Sikorski**. Przekład z łaciny zaś to wspólna praca **Kazimierza Limana** i **ks. Teofila Richtera**.

Paweł Smogorzewski

Grzegorz z Tours, *Historia. Historie Franków*; Tyniec, Wydawnictwo Benedyktynów, Kraków 2002



ks. Andrzej Zwoliński

Korzenie terroryzmu

Według starożytnego historyka żydowskiego Józefa Flawiusza *Sicarii* (sykariusze) byli *bandytami, którzy zapożyczyli nazwę od sztyletu trzymanego na pierśi*. Ich atak polegał na mieszaniu się ze świętującym tłumem i mordowaniu przeciwników małym sztyletem ukrytym pod szatą. Gdy ofiary osuwały się na ziemię, zabójcy wtapiali się we wstrząśnięty tłum i, manifestując oburzenie, unikali wykrycia. Podobne metody stosowali w średniowieczu *Asasyni*, wywodzący się z ismailickiej sekty szyitów. Byli gotowi wymordować wszystkich przywódców krucjat, którzy najędziali Ziemię Świętą. Najśłyniejszą ich ofiarą to Konrad z Montferrat, zabity w 1192 roku.

Nazwa *terroryzm* przyjęła się od czasów *Revolucji Francuskiej* (rządy terroru 1792 – 1794), gdy sposobem rządów stały się egzekucje i tortury. Okazało się wówczas, że władza – dysponując mordercami działającymi w majestacie prawa – ma większe możliwości zabijania niż jakakolwiek grupa buntowników. W 1795 roku słowo *terroryzm* zdefiniowano po raz pierwszy w *Oksfordzkim Słowniku Języka Angielskiego*. *Revolucja Francuska* przyspieszyła wybuch nieudanego powstania w Irlandii, po którym wyroki śmierci wydane na buntowników przez rząd brytyjski przewyższyły swą liczbą wszystkie ofiary francuskiego terroru. Był to pierwszy przypadek tzw. *kontrterroryzmu* władz, sięjących terror na znacznie szerszą skalę niż wywołany przez grupę buntowników.

W XIX wieku terrorystami nazywano grupy zamachowców (socjalistów, anarchistów, rewolucjonistów), próbujących rzucić postrach na rządzących. Do najbardziej głośnego zamachu doszło w Rosji (Petersburg 1 III 1881 r.), gdy car Aleksander II stał się ofiarą bomby rzuconej przez Polaka – Ignace-

go Hryniewieckiego (który zresztą zmarł tego samego dnia, raniony rzuconą przez siebie bombą). Zamach zorganizowało stowarzyszenie *Wola Ludu*, założone w 1879 r. dla walki ze zniemawionym systemem. Członkowie grupy nazywali siebie *neopartyzantami*, zaś carobójstwo – *arcyzamachem* lub *ciem w centrum*. Na czele komórk zamachowców stała Sofia Perowska, córka gubernatora Petersburga.

W drugiej połowie XIX wieku w Stanach Zjednoczonych zaczęła działać tajna organizacja terrorystyczna *Ku-Klux-Klan*, wymierzona głównie przeciw ludności hiszpańskiej, żydowskiej i imigrantom (głównie katolikom). Pierwszy *Ku-Klux-Klan* powstał w 1866 r., po zakończeniu wojny secesyjnej. Jego głównym celem było utrzymanie supremacji białych na południu Stanów Zjednoczonych oraz podejmowanie walki z równouprawnieniem Murzynów. Organizacja ta została formalnie rozwiązana w 1877 r., chociaż nieoficjalnie działała jeszcze na południu USA przez wiele lat. Odtworzenie struktur organizacyjnych stowarzyszenia nastąpiło w 1915 r. w Atlancie, pod kierunkiem pastora metodystów Williama J. Simmonsa, który do jej celów włączył propagowanie zasad porządku, moralności i religii. *Ku-Klux-Klan* walczył ze wszystkim, co było sprzeczne z duchem *amerykanizmu*. Stosował przy tym metody zastraszania, przemocy, terror, dopuszczał się nawet linczu i morderstw. W szczytowym okresie swej działalności (1925 r.) liczył on ok. 5 mln członków, obejmując swym zasięgiem wszystkie stany USA, kontrolując władze stanowe w Teksasie, Oklahomie, Arkansas, Kalifornii, Oregonie, Indiannie i Ohio. W 1965 r. organizacja została publicznie potępiona przez ówczesnego prezydenta Lyndona Johnsona.

Komuniści wypowiadali się począt-

kowo przeciw terrorowi, jako metodzie rewolucyjnie nieskutecznej, lecz jako grupa rządząca zastosowała go na dużą skalę w okresie tzw. *rewolucji rosyjskiej* (powołując np. *Czekę* – terrorystyczną policję polityczną). W okresie międzywojennym terroryzm rewolucyjny w Europie znacznie osłabł. Na Bałkanach działali chorwaccy Ustasi; anarchości byli czynni na Półwyspie Pirenejskim. W wojnie domowej w Hiszpanii obie strony używały terroru jako metody walki.

Podobnie w Wielkiej Brytanii doszło do ataków bombowych *IRA*. Rozpoczęły się w styczniu 1939 r., po żądaniu wycofania wojsk angielskich z Irlandii Północnej. W przeciągu kilku miesięcy seria eksplozji zabiła i zraniła wielu obywateli. Kulminacją nastąpiła 25 sierpnia 1939 r., gdy w głównym centrum handlowym Coventry wybuch bomby spowodował śmierć 5 osób, ranił zaś 50. Po skutecznych akcjach policji angielskiej oraz wydaniu jednej – oczekiwanej przez *IRA* – ustawy, kampania zamachów bombowych zakończyła się w 1940 roku. Skala terrorystycznych napadów niedługo potem została przesłonięta koszmarem wojny.

Odrodzenie terroru rewolucyjnego nastąpiło niespodziewanie w 1968 r. w Ameryce Łacińskiej (w Brazylii – partyzantka miejska, w Argentynie – Rewolucyjna Armia Ludu, a w Urugwaju – *Tipamarios*) i w Europie Zachodniej (szczególnie we Włoszech – *Brigadzie Rosse* i Niemczech – banda Meinhofa). Grupy te najczęściej wysuwały hasła komunistyczne zabarwione anarchizmem i posługiwały się nowoczesnymi narzędziami walki.

W następnych latach pomiędzy terrorystami arabskimi, japońskimi, irlandzkimi, niemieckimi, włoskimi, hiszpańskimi i z innych krajów została nawiązana współpraca – przynajmniej techniczna. Eksplozja terroryzmu w drugiej połowie XX wieku wiąże się z coraz bardziej zawiłą ewolucją tego zjawiska, przybierającego różną postać i wymykającego się coraz bardziej wystarzającemu opisowi socjologicznemu i politycznemu. ■

AKTUALNOŚCI NIECO OMSZAŁE

Mataczenie archeologów

W listopadzie ubiegłego roku świat obiegła wiadomość o odkryciu w Palestynie urny datowanej na 63 rok po Chrystusie; znajdowała się na niej aramejska inskrypcja: **Jakub, syn Józefa, brat Jezusa**. Francuz, badający ossuarium, prof. André Lamaire pospieszył ze stwierdzeniem, iż jest *prawdopodobne, że w urnie spoczywały prochy Jakuba, brata Jezusa z Nazaretu. Być może odnaleziono najwcześniejszy dowód życia Jezusa Chrystusa* (zobacz: *WPROST* 45/2002, s. 88). Czyżby nie znali innych, a jeszcze wcześniej?

Wydawać by się mogło, że odkrycie urny będzie jedyną sensacją, a jednak... W *POLITYCE* nr 6/2003 (107) możemy przeczytać list Czytelnika, który stwierdza bez cienia wątpliwości: *Wystarczy sięgnąć choćby do Nowego Testamentu – także w trzecim, poprawionym wydaniu Biblii Tysiąclecia* (Poznań-Warszawa 1980), *by u Mateusza* (13, 55 i in.) *i u Marka* (6, 3) *doczytać się bez trudu, że Józef i Maria mieli jeszcze po Jezusie czterech synów wymienionych z imienia: Jakuba, Józefa, Szymona i Judę, a poza tym nieznaną z imienia córkę (a zatem przynajmniej dwie). Innymi słowy, Jezus – według Mateusza i Marka – miał co najmniej sześcioro rodzeństwa... Na pewno? Tak twierdzą świadkowie Jehowy, ale czy mają rację?*

Gwoli ścisłości należało podać odniesienie do innego tekstu ewangelicznego, mówiącego o *braciach Jezusa*: (Mt 12, 46), a ściślej – do umieszczonego tam przypisu: *Nie bracia rodzeni, lecz stryjeczni lub cioteczni, albo kuzyni. Język hebrajski i aramejski nie ma osobnych wyrazów na oznaczenie bliźszych krewnych*. Tego faktu nie kwestionuje żaden językoznawca, ale zwo-

lennicy *synów i córek Maryi i Józefa* jakby o tym nie słyszeli. Zasoń wiedzy dostosowują do własnych przekonań?

Otóż świadomość powyższego faktu jest sprawą zasadniczą, nie przekreśla jednak możliwości dochodzenia prawdy o *braciach i siostrach Chrystusa*. Po prostu: trzeba pytać o ojca (ewentualnie matkę) *braci i siostr Jezusa* – bo tylko w ten sposób można dowieść, że mamy do czynienia albo z rodzeństwem Jezusa, albo tylko z Jego krewnymi. A co wiemy o rodzicach *braci i siostr Jezusa*?

Św. Paweł zwierza się w pewnym miejscu: *Spośród zaś innych, którzy należą do grona Apostołów, widziałem jedynie Jakuba, brata Pańskiego* (Gal 1, 19). W gronie Apostołów mamy więc *brata Pańskiego*, ale kto jest jego ojcem? Ze spisu Apostołów (zob. Mt 10, 2-4) wynika, że było dwóch pod tym imieniem: Jakub, syn Zebedeusza i Jakub, syn Alfeusza. A gdzież Jakub, syn Józefa – skoro *brat Pański* Jakub miałby być rodzonym bratem Jezusa?

Podobnie *bratem Pańskim* nazwany jest apostoł Juda, zwany Tadeuszem (zob. Mt 13, 55), uważany za autora Listu św. Judy (to apostoł od *spraw beznadziejnych*, przedstawiany z wizerunkiem Jezusa na piersi). Otóż z Pisma św. wiemy, że wspomniany Juda Tadeusz jest bratem (*rodzonym? krewnym?*) Jakuba (zob. Jud. 1) i synem Jakuba (zob. Łk 6, 16). Znowóż nie jest synem Józefa! Wspomniani *bracia Jezusa* Jakub i Józef pojawiają się w innym miejscu ewangelii jako synowie Marii (zob. Mt 27, 56; Mk 15, 40; Łk 24, 10), siostry (*rodzonej? krewniej?*) Matki Jezusa, która zresztą jest określona jako żona Kleofasa (zob. J 19, 25).

Że to wszystko nieco skomplikowane? Owszem... Cóż jednak wiemy? Rodziny były wówczas niewątpliwie liczne, w oparciu o przekazy biblijne niektórzy podają, że Matka Jezusa miała mieć dwie siostry przyrodnie, także o imieniu Maria (a w Ewangeliach aż roi się od Marii). Można też pytać: jak liczne było rodzeństwo Józefa, tudzież – czy Maryja była pierwszą i jedyną małżonką Józefa? Autorzy apokryfów puszczali tutaj wodzę fantazji, ale też nie dostarczali żadnych wiarygodnych wiadomości. Dla naszego zagadnienia nie jest to jednak istotne. A co jest istotne? Otóż **w ewangeliach nie pojawiają się bracia i siostry Jezusa, których rodzicami byłiby Józef lub Maryja**. Nie ma żadnych biblijnych dowodów na twierdzenie, że istnieli tacy *bracia i siostry Jezusa*!

Są zaś dowody pośrednie, że było inaczej. Dlaczego np. przez 10 lat związku Józef i Maryja nie mieli żadnych dzieci poza Jezusem? A tylko z Jezusem – prawdopodobnie dwuletnim – uciekali do Egiptu ok. 4 roku przed Chr. (zob. Mt 2, 20-21). Albo jakież powód miałby Jezus, by przed śmiercią na krzyżu oddawał swoją Matkę pod opiekę Jana, umiłowanego ucznia, skoro – rzekomo – mogło ją otoczyć opieką aż czterech synów i dwie córki?

Niektórzy powiadają, że **wszystko jest w Biblii**. Jeżeli to prawda, to nadal nie wszyscy potrafili ją czytać. Może więc uzasadnione były racje tych, którzy chcieli w wieku XVI, by dopuszczać do czytania Biblii za zgodą proboszcza lub spowiednika?

Życie dopisało zresztą typową *puentę* do całej sprawy: **napis na urnie okazał się podrobiony**. Czy wszyscy zainteresowani mogli się o tym dowiedzieć? Jakby wstydlawie, na bocznej kolumnie, wewnątrz *Gazety Wyborczej* poinformowano, że izraelscy eksperci badający znaleźisko byli jednomyślni: *ich zdaniem urna jest prawdziwa, tzn. może pochodzić sprzed dwóch tysięcy lat, ale inskrypcja jest fałszerstwem dokonany być może niedawno...* (*GW*, 20 czerwca br. s. 14).

ks. Bogdan Markowski CM

STAROŻYTNOŚĆ CHRZEŚCIJAŃSKA (2)

Sobór Konstantynopoliński I w 381 roku zakończył pierwszy etap wielkich sporów teologicznych Kościoła starożytnego o Trójcę Przenajświętszą. Po nich nastąpił okres spokoju, trwający pół wieku. W tym czasie działały dwie szkoły teologiczne – w Aleksandrii i Antiochii – o przeciwstawnych poglądach, z których zrodziła się następnie fala ostrych dyskusji teologicznych. Tym razem dotyczyły one osoby Jezusa Chrystusa.

Drugi etap kontrowersji teologicznych rozpoczął **Sobór Efeński**, poświęcony – jak następnego soboru Kościoła starożytnego – problematyce chrystologicznej, a więc stosunkowi Bóstwa i człowieczeństwa w Jezusie Chrystusie.

Postawiono sobie pytanie o tajemnicę Chrystusa, czyli o to, kim On był? Bogiem i człowiekiem – na to zgadzały się wszyscy chrześcijanie. Niemniej jednak inaczej widziano tę sprawę w Antiochii, inaczej w Aleksandrii. Teologowie w Antiochii wychodzili od dwoistości natur w Chrystusie (a więc Jego Boskości i człowieczeństwa), by dojść do ich jedności. Natomiast w Aleksandrii przeciwnie: wychodzono od ich jedności, by następnie dojść do dwoistości natur. Dlatego Maryję nazywano *Matką Boga* (po grecku *Theotokos*) – tytułem używanym w Egipcie od III w. Nie są to bynajmniej spory o słowa: z Antiochii wyszedł nestorianizm – oddzielający w Chrystusie Bóstwo i człowieczeństwo; z Aleksandrii – monofizytyzm, pomniejszający rolę natury ludzkiej w Chrystusie.

W IV i V w. w Antiochii działało grono wybitnych teologów-ascetów. Oni tworzyli tzw. szkołę antiocheńską. Byli to: Lukian z Antiochii – wybitny egzegeta o poglądach radykalnych i racjonalistycznych na Pismo św.; Diodor z Tar-

su – wszechstronnie wykształcony asceta, świetny dialektyk, którego uczniami byli: Jan Chryzostom i Teodor z Mopsuestii – wybitny teolog egzegeta. Z Antiochii wyszli dwaj patriarchowie Konstantynopola – Jan Chryzostom i Nestoriusz, na co patrzyła złym okiem rywalizująca z Antiochią Aleksandria.

Jan Chryzostom został wygnany z Konstantynopola przy niemałej pomocy intrzy patriarchy aleksandryjskiego – Teofila. Gdy zaś Nestoriusz w ostry sposób zaczął atakować termin *Theoto-*

niejszego teologa). Kościół w Persji prowadził wielką akcję misyjną na Wschód, jednak stopniowo tracił kontakty z Zachodem. Izolację pogłębił spór o tzw. *Trzy rozdziały* (o czym niżej).

Zwycięstwo nauki szkoły aleksandryjskiej miało swoje konsekwencje. Podkreślając (przeciw Nestoriuszowi) jedność w Chrystusie, teologowie zaczęli twierdzić, że Chrystus miał jedną naturę boską (gr. *monophysis* – stąd *monofizyci*), w której natura ludzka *się rozpułyła*. Takie poglądy głosili już po śmierci Cyryla (opierając się jednak na jego teologii) Eutyches – archimadryta konstantynopoliński, a za nim Dioskur, patriarcha aleksandryjski.

W 449 r. zwołano do Efezu sobór (nie uznany jako taki przez Kościół katolicki ani prawosławny), który przyznał rację Eutychesowi, a przy-

okazji rozprawił się brutalnie z jego przeciwnikami. Stąd wzięła się jego nazwa – *Zbójceństwo efeńskie*. W dwa lata później (451 r.) zwołano sobór do Chalcedonu (ten został uznany jako *czwarty sobór powszechny*), który potępił Eutychesa i Dioskura oraz głoszony przez nich *monofizytyzm*. Nauka soboru znalazła swój wyraz w liście papieża Leona Wielkiego do patriarchy Konstantynopola – Flawiana. Reakcja na te decyzje nastąpiła szybko: Egipt powstał w obronie swego patriarchy, zerwał jedność z Kościołem. Także w Syrii powstały silne ośrodki *monofizytów*.

Próby przywrócenia jedności nie przyniosły skutku. Były one teologiczne – wymyślano coraz nowe formuły teologiczne, jak np. *Henotikon* cesarza Zenona, potępienie tzw. *Trzech Rozdziałów*, to jest pism tych, którzy mieli dać początek *nestorianizmowi*, a więc Diodora, Teodora z Mopsuestii i Ibasa oraz przy pogodzenia z *monofizytyzmem* poprzez coraz to nowe i coraz bardziej skomplikowane nauki: *monenergetyzm* i *monoteletyzm* – potępio- ⇨

ne przez III Sobór Konstantynopoliński (680 – 681). Były też niestety i próby polityczne – powyższe sformułowania, podobnie jak i naukę Chalcedonu, próbowali narzucać całemu Kościołowi – często bardzo brutalnie – cesarze bizantyńscy; wybuchały więc krwawe prześladowania *monofizytów* w Syrii czy w Egipcie, na które nie mniej krwawo odpowiadali *monofizyci*. Walki trwały nawet wewnątrz klasztorów. W końcu Bizancjum utworzyło siłą hierarchię kościelną w tych krajach – tak powstała *kościół cesarski*, czyli (od semickiego *melek*) – *melicki*.

Także i *monofizyci* się podzielili. Trwały właśnie pomiędzy Kościołem egipskim (koptyjskim) i syryjskim – nazywanym *jakobickim*, od jego organizatora Jakuba Baradaja, które ustały w VII w., w przededniu inwazji arabskiej. Dodajmy, że Armenia nie przyjęła ustaw Soboru Chalcedońskiego, powiększając grupę kościołów typu *monofizyckiego*, podobnie jak chrześcijańska (od IV w.) Etiopia – ściśle związana z Aleksandrią, przejęła z niej również *monofizytizm*.

Inwazja arabska w latach trzydziestych VII w. sprawiła, że kościoły *nestoriańskie*, *monofizyckie* – czyli *jakobicki* i *koptyjski* i ortodoksyjne (*melicki*) znalazły się pod dominacją arabską; z wyjątkiem Armenii i Etiopii.

Te rozłamy pomiędzy Wschodem (przeważnie semickim) a Zachodem grecko-lacińskim miały wiele powodów i były procesami bardzo skomplikowanymi. Do spraw religijnych dochodziły problemy językowe (nieprecyzyjne odwołanie pojęć greckich w pojęciach semickich lub, ogólnie mówiąc, *nie-precyzja* języka) a także polityczne, personalne rywalizacje, ambicyjne itd.

cdn.
ks. Marek Starowiejski

Sprostowanie

W poprzednim numerze *PIP* w tekście pt.: *Duszpasterstwo chwili* (s. 12) mylnie podaliśmy datę powstania idei kapelanatu lotniskowego. W tekście jest podany rok 1974, a powinien być rok 1947. Przepraszamy.

Redakcja

PLASTYKA

Atrybuty życia ziemiańskiego

Parę tygodni temu, jeszcze w czerwcu, przy okazji uroczystości 5-lecia Ośrodka Charytatywno-Kulturalnego przy Domu Opiekuńczo-Lecznym w Piliszkwie, Prymas Polski kardynał Józef Glemp w towarzystwie b. ministra rolnictwa Adama Tańskiego otworzył i poświęcił **Muzeum Pojazdów Konnych**.

Majątek ziemski w Piliszkwie (pod Ożarowem Mazowieckim) ma długie tradycje. Wśród jego właścicieli wymienia się jeszcze rycerza z Piliszkowa, wspomnianego w dokumencie sądowym kancelarii księcia Janusza I Mazowieckiego z 1425 roku. Ród Piliszkowskich zamieszkiwał te włości do ostatnich lat wieku XVIII. Potem właścicielami Piliszkowa była rodzina Campionich, od nich majątność kupił sekretarz króla Stanisława Augusta Franciszek Ryx, by wreszcie w roku 1892 osiadł tu Mieczysław Marszewski (1857 – 1916), inżynier komunikacji – budowniczy mostu Poniatowskiego oraz mostu na Bugu w Zegrzu. Jemu i jego synowi Antoniemu Marszewskiemu zawdzięcza dwór w Piliszkwie swój obecny kształt architektoniczny (piętrowy budynek z parterowymi alkierzami na bocznych skrzydłach).

W czasie II wojny światowej we dworze Marszewskich znalazły schronienie setki ludzi, m.in. żona gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego z synem Adamem. Rok 1945 zapoczątkował bolesną przerwę w zachowujących ciągłość, od początków XV w., dziejach Piliszkowa. Po wyrzuceniu Marszewskich, majątek włączono do powstałego PGR-u, a dwór wraz z parkiem i znajdującą się na jego terenie wspaniałą

oranżerią zniszczono i zdewastowano.

W roku 1985 ruinę dworu z 5-hektarowym XVIII-wiecznym parkiem wykupił Centralny Związek Spółdzielni Mleczarskich, Prymas Polski zrekonstruował. Od roku 1993 gospodarzem tego historycznego miejsca jest **Fundacja Kościelnej Rady Gospodarczej**, istniejąca przy **Konferencji Episkopatu Polski**. Dzieje Piliszkowa staraniem **Fundacji** zostały utworzone i udukiemowane, a w samym dworze zorganizowano stałą ekspozycję – **Muzeum Dworu Polskiego** – wzbogaconą o rodzinne pamiątki byłych właścicieli. Według zachowanych starych planów odtworzono dawne aleje parkowe i uzupełniono drzewostan. Dzięki powołanemu przez Prymasa Polski kard. Józefa Glempla **Ośrodkowi Charytatywno-Kulturalnemu** i dzięki energicznej działalności jego dyrektora ks. dr. Edwarda Sobieraja życie w Piliszkwie nie zostało ograniczone tylko do opieki medycznej. Odbywające się tu regularne koncerty od lat gromadzą sławy polskich sal koncertowych, zaś do czynnego już **Muzeum Dworu Polskiego** dołączyło obecnie **Muzeum Pojazdów Konnych**. W specjalnie wybudowanych pomieszczeniach prezentowanych jest ponad 50 zabytkowych pojazdów o różnym przeznaczeniu. Ta niezwykła kolekcja, gromadząca również stare uprząże, munszutki, dzwonki nagrzbietowe oraz powozy latarnie, jak się okazuje niewiele ustępuje sławnym zbiorom zaprzęgów konnych w Łańcucie. Nowo otwarte Muzeum stanie się z pewnością kolejną atrakcją turystyczną okolic Ożarowa Mazowieckiego.

Jarosław Kossakowski

ZAMYŚLENIA

Zmus się, kiedy spotkasz bliźniego, żeby czcić go ponad jego własną miarę. Ucałuj jego ręce i stopy, trzymaj je długo z szacunkiem i połóż je na oczy. Chwal go, nawet jeśli nie jest tego wart. A kiedy już sobie pójdzie, mów o nim wyłącznie dobrze i z poważaniem. Prowadzisz go tym samym ku dobru. Witając go w ten sposób, zmuszasz go do poznania wstydu. Zasiewasz w nim ziarno cnoty.

Kiedy narzucisz sobie taki zwyczaj, na twojej twarzy pojawi się wyraz dobroci, zyskasz wielką pokorę i

dojdiesz bez trudu do wielkich rzeczy. Lecz to nie wszystko. Jeśli twój bliźni ma wady, czczony przez ciebie łatwo się z nich wyleczy, zmieszany czią, która mu oddałeś.

Zawsze postępuj w ten sposób. Pozdrawiaj i czcij wszystkich ludzi. Nie drażnij nikogo tylko dlatego, że popełnił złe uczynki i powstrzymaj się od upominania lub poprawiania kogoś w czymkolwiek. Ponieważ mamy w niebiosach sędziego, który nie czyni pomiędzy ludźmi żadnych różnic.

Jeśli chcesz doprowadzić swojego brata do prawdy, żałuj go, płacz, miłuj, powiedz mu słowo lub dwa. Nie gniewaj się jednak na niego, aby nie zobaczył w tobie nawet śladu nienawiści. Ponieważ miłości owdładniętej namiętnościami nie wolno okazywać gniewu, irytować, drażnić lub ganić kogoś.

Dowodem miłości i poznania jest pokora, która rodzi się ze spokoju sumienia w Chrystusie naszym Panu.

Izaak Syryjczyk

Izaak Syryjczyk (VII wiek) urodził się w prowincji Katar, położonej na zachodnim brzegu Zatoki Perskiej. Chociaż urodzony nad morzem, wołał wycofać się na pustynię, by tam wieść ascetyczne życie. Znany ze swego *pogodnego, miłego i pokornego* charakteru, został wybrany biskupem w Niniwie (w obecnym Iraku) właśnie wtedy, kiedy zakończył się okres konfliktów w łonie Kościoła. Spozrzeglwszy, że urząd duszpasterski zakłóci mu samotne życie, po pięciu miesiącach zrezygnował ze stanowiska i ukrył się w górach, aby powrócić do życia eremity. Przeczytał ogromną liczbę ksiązek. Ten fakt oraz praktyki ascetyczne stały się przyczyną jego ślepoty. Nauki Izaaka spisali jego uczniowie.

Rozważania ascetyczne szybko zdobyły sobie uznanie chrześcijańskiego Wschodu, gdzie do dzisiaj są bardzo często czytane.

W *Rozważaniach*, które odznaczają się przepięknym i wzruszającym stylem, zawarta jest wielka głębia duchowa i psychologiczna. W tekście tym można zobaczyć, z jaką delikatnością, ten wielki samotnik, rygorystyczny asceta, który uciekał od ludzi, odnosił się do człowieka, jak wielką wartość widział w człowieku, jak blisko był ludzkich spraw.

Jest zadziwiające, że tekst, który powstał w czasach tak odległych

i w warunkach tak różnych od tych, w jakich żyjemy, może być dzisiaj w tak dużym stopniu aktualny.

Przeważnie traktujemy innych poniżej ich własnej wartości. To mizeria pychy, która każe nam ciągle zajmować miejsce wyższe niż inni i stawiać innych niżej od nas. To mizeria ignorancji która sprawia, że nie doceniamy faktu, iż każda osoba jest warta nieskończenie więcej niż myślimy – nie tylko w porównaniu z naszym ograniczonym spojrzeniem, które umniejsza wszystko, lecz także w stosunku do spojrzenia Boga, którego miłosierdzie wybacza wszystkie słabości i którego dobroć stworzyła każdego człowieka na swoje podobieństwo.

Izaak uczy nas, że nie poprzez poniżanie drugiego człowieka wzmacniamy go; nie poprzez krytykowanie przyczyniamy się do poprawy jego zachowania; nie poprzez denerwowanie się na niego możemy sprawić, iż stanie się łagodny i spokojny. I wreszcie: że nie poprzez podkreślanie jego wad możemy go udoskonalić.

Ponizanie, krytykowanie – taka jest logika świata. Jest ona jednak radykalnie fałszywa i doprowadza w sposób nieunikniony do skutków odwrotnych od tych, których oczekujemy. To właśnie odmawiając sobie porównywania drugiego człowieka do nas samych i do innych ludzi, pozwolimy na to, ażeby stał się nie-

porównywalnym. Odmawiając sobie krytykowania go, pomożemy mu uniknąć wszelkiej krytyki. Wznosząc go ponad naszą ocenę jego osoby oraz zachowując się pozytywnie w stosunku do niego, możemy wnieść go wyżej w jego bycie, jednocześnie siebie samych prawdziwie, a więc duchowo, wzmacniając.

Według Izaaka kryterium rzeczywistej wartości oraz prawdziwości naszego współczucia dla drugiego człowieka i naszej miłości do niego jest pokora, która winna kierować całym naszym życiem, we wszystkich jego aspektach.

Rzeczą niemożliwą jest miłowanie bliźniego, jeśli nie wyrzekliśmy się siebie i jeśli nie przyjęliśmy, jako wzoru naszej miłości do innych, pokornej miłości Boga, która wszystkim ludziom, nie dyskryminując nikogo, przyznaje, ponad ich zaletami i wadami, tę samą wartość.

W naszych czasach, w których coraz bardziej rozpowszechniają się: dyskryminacja, nietolerancja, fanatyzm, (polegający na chęci narzucenia innym swoich mniemań i swojego sposobu życia), nauczanie Izaaka nabiera szczególnego znaczenia.

Jean-Claude Larchet *

* Autor artykułu jest patrolierem i teologiem prawostawnym.
Tłum. Helene Gerardin i Marta Zielińska

Stanisław Michalkiewicz

Lwie spółki

Z niedawnych doniesień prasowych wynika, że dług publiczny państwa polskiego przekroczył 400 mld zł, czyli ponad 100 mld dolarów. Wygląda na to, że zadłużanie państwa, a więc dogadzanie (jakie tam dogadzanie, no ale jakoś trzeba to nazwać) obywatelom, a przede wszystkim – obywatelom głosującym na koszt obywateli, którzy, miejmy nadzieję, kiedyś się narodzą, jest jedynym pomysłem, dzięki któremu tworząca kolejne rządy szlachta-gołota jakoś utrzymuje się na powierzchni. W roku 2003 deficyt budżetowy został określony na poziomie 38 mld zł, a pan wicepremier Hausner przewiduje, że w roku przyszłym może osiągnąć poziom 47 mld złotych. Żeby ten deficyt budżetowy pokryć, to znaczy – żeby rząd znalazł pieniądze na pokrycie zaplanowanych wydatków, trzeba sprzedawać obligacje skarbowe. Można je sprzedawać byle jak, ale można też ułatwić sobie życie, organizując sobie samograj finansowy. I ekipa SLD-PSL, rządząca Polską w latach 1993 – 1997 taki samograj skonstruowała, zaś ekipa AWS-UW – zatwierdziła go w postaci wielkopomnej reformy systemu emerytalnego.

Niektórzy historycy uważają, że wprawdzie zwykły ucisk fiskalny zawsze budził niezadowolonych poddanych, ale było ono łagodzone świadomością, że uciskającym jest monarcha, który mimo wszystko cieszył się szacunkiem. Kiedy jednak królowie zaczęli wydzierżawiać podatki różnym lichwiarzom, to łagodne i melancholijne niezadowolenie przekształcało się z wolna w furję. Tym właśnie tłumaczą niektórzy niezrozumiałe wybuchy okrucieństwa, jakie towarzyszyły, np. rewolucji francuskiej.

W ramach reformy emerytalnej utworzony został tzw. II filar systemu ubezpieczeniowego. Rząd odbiera obywatelom około 50 proc. dochodu tytułem składki na ubezpieczenie społeczne. Część tych pieniędzy bierze ZUS, z czego wypłaca emerytury i renty, a część przekazuje tzw. otwartym funduszom emerytalnym (OFE), stanowiącym wspomniany II filar systemu. Te OFE mają tymi pieniędzmi obracać, poprzez obrót – zarabiać, a potem wypłacać szczęśliwcom, którzy dożyją wieku emerytalnego.

Po kilku latach funkcjonowania OFE okazało się jednak, że nie spełniają one pokładanych w nich nadziei. Czy oznacza to, że reforma systemu ubezpieczeń społecznych się nie udała? Alż-

nic podobnego! Uchowaj Boże! Udała się w 100 procentach! Jeśli oczywiście będziemy oceniać to według celów rzeczywistych, a nie celów deklarowanych. Rzeczywiste cele jakiejś reformy bardzo łatwo odróżnić od deklarowanych. Cele rzeczywiste **muszą** się pojawić, i to raczej szybko. Cele deklarowane – albo się pojawiają, albo nie. Otóż w OFE pokładano nadzieje, że gromadzone przez nie pieniądze będą inwestowane w gospodarkę, np. w akcje przedsiębiorstw, dzięki czemu zostanie ona zasilona kapitałowo. Wprawdzie gospodarka mogłaby być zasilana kapitałowo i bez tego. Gdyby np. rząd nie odbierał ludziom około 80 proc. ich dochodu, tylko, dajmy na to, 20, to te 60 proc. różnicy ludzie ci wydaliby według swego uznania, zasilając: a to rolnictwo, a to przemysł skórzany, a to przemysł tekstylny, a to transport czy przemysł rozrywkowy. Ten sposób jednak ma tę wadę, że rząd nie mógłby wystąpić w roli dobroczyńcy ludzkości, no i przy okazji się powyżwiać, jak szczerze określili podstawową funkcję niektórych rządów Jerzy Urban.

Tymczasem okazało się, że OFE inwestują w akcje przedsiębiorstw zaledwie 27 proc. swoich aktywów, a aż 68 proc. angażują w obligacje skarbowe. Tak (nawiasem mówiąc) te 27 proc. jest

po prostu przepompowywane w zaprzyżnżone firmy, z których potem ten łatwy pieniądz wyprawadany jest za pomocą bardzo wyrafinowanych i pomysłów operacji na zagraniczne wyspy szczęśliwe. Ale taka już jest natura wielkiego biznesu w Polsce, że w każdej chwili musi liczyć się z nadejściem bolszewików i przygotowywać sobie miękkie lądowanie poza zasięgiem ich ewentualnej władzy. Ale to nieważne, bo chodzi przede wszystkim o to, że OFE zarabiają wyłącznie na obligacjach skarbowych.

Co to znaczy? Spróbujmy prześledzić ten mechanizm. Rząd zmusza ludzi do oszczędzania, przekazując im pieniądze *Otwartym Funduszem Emerytalnym*. Fundusze, idąc po linii najmniejszego oporu, kupują papiery skarbowe, które rząd zobowiązuje się odkupić z procentem za przyszłe wpływy podatkowe. Tak naprawdę więc to II filar reformy emerytalnej był pomysłem na wydzierżawienie przyszłych podatków. Koszty tej dzierżawy są dość wysokie, bo fundusze, nie ponosząc najmniejszego ryzyka, pobierają sporą prowizję. OFE są wierzycielem rządu, ale wierzycielami OFE są ich klienci, czyli zwykli podatnicy. Ci sami podatnicy, którzy będą musieli zapłacić za wykupienie papierów skarbowych i pokryć prowizję OFE. Okazuje się, że ten mechanizm tak naprawdę oznacza, iż podatnicy stają się wierzycielami samych siebie. Korzyści z tego, jak widać, nie mają najmniejszej, bo korzysta wyłącznie rząd, który się wyżywia, no i firmy tworzące OFE, które kapitalizują przyznany im przez rząd przywilej. W dawnym prawie rzymskim taki układ nazywał się *spółką lwią* (*societas leonina*), która była zakazana. U nas taki układ nazywa się *zdobyczą socjalną ludu pracującego miast i wsi*, która oczywiście zakazana być nie może, bo tak się akurat składa, że uważana jest za dobro wspólne. Dopóki ludzie myślą, że to wszystko prawda, to można to kontynuować. Kiedy jednak zorientują się, o co tu chodzi naprawdę, to należy liczyć się z możliwością wybuchu niezrozumiałego okrucieństwa. ■

IN FLAGRANTI

Na niedawny kongres Sojuszu Lewicy Demokratycznej (transmitowany przez telewizję, opisany oraz ilustrowany przez prasę tak, jakby od jego przebiegu zależała nasza przyszłość!) przyszedł sam Wojciech Jaruzelski. Obecni na obradach socjaldemokraci polscy powitali go najuroczyściej – powstali i długo bili brawa. Na oczach milionów Polaków najwyżsi urzędnicy III Rzeczypospolitej przywitali Jaruzelskiego niczym najbliższego przyjaciela...

Powitanie przeszłości

Tymczasem jest on oskarżony w procesie o masakrę na Wyrbrzeżu w grudniu 1970 roku. Sąd wolnej Rzeczypospolitej nie może Jaruzelskiemu udowodnić żadnej winy. Nic dziwnego, skoro jest przyjacielem i socjaldemokratów, sprawujących – niekoniecznie pod sztandarami SLD – najwyższe godności państwowe, i Michnika, który relatywizuje w polityce kryteria moralne. Rozprawy odbywają się rzadko i bezskutecznie, chociaż powszechnie wiadomo, że kiedy w grudniu 1970 roku na Wyrbrzeżu już wrzało, choć ofiar śmiertelnych jeszcze nie było, Gomulka zapytał Wojciecha Jaruzelskiego, ówczesnego ministra obrony, jak zachowa się wojsko; generał odpowiedział: *armia wypełni swój obowiązek...**

Gomulka odsunął wprawdzie Jaruzelskiego od bezpośredniego dowodzenia, ale generał dokładnie wiedział, co działo się w Gdańsku, Gdyni, Szczecinie i nie tylko nie przeciwstawił się zbrodniczemu okrucieństwu Gomulki, lecz także aprobował jako czynny minister Obrony Narodowej poczynania wykonawców decyzji oszalałego ze strachu przed społeczeństwem pierwszego sekretarza KC PZPR.

Tak o tym udziale Jaruzelskiego w tragedii grudniowej mówił, po prawie pół roku, jego ministerialny zastępca, niezjący już Grzegorz Korczyński: – Na polecenie tow. Moczara, potwierdzone następnie przez tow. Jaruzelskiego, wyleciałem do Gdańska, towarzysząc członkom BP, tow. tow. Kliszce i Lodzi-Sowińskiemu. W czasie przebywania na Wyrbrzeżu wypełniałem polecenia najwyższych czynników partyjnorządowych, przekazanych mi przez dzia-

lających tam członków BP oraz tow. tow. Cyrankiewicza, Moczara i Jaruzelskiego. (...) O wszystkich najważniejszych przedsięwzięciach sztab wojskowy meldował ministrowi Obrony Narodowej, który je akceptował. Ja sam meldowałem wielokrotnie tow. Jaruzelskiemu sytuację i propozycję odnośnie użycia wojsk. Już w dniu 15 grudnia tow. Jaruzelski poinformowany został o wprowadzeniu nowych pododdziałów do gmachu KW w Gdańsku. W tymże dniu tow. Jaruzelski zwrócił mi telefonicznie uwagę, dlaczego wojsko pod KW nie użyczo broni, choć MO jej użyła. Odpowiedziałem, że to nie odpowiada prawdzie, gdyż zgodnie z decyzją tow. Cyrankiewicza wojsko użyczo broni. (...)**

A wcześniej, w lutym 1971 r., Wojciech Jaruzelski rozważał na forum Komitetu Centralnego PZPR problem użycia wojska polskiego do pacyfikowania wystąpień robotniczych na Wyrbrzeżu w grudniu poprzedniego roku. Powiedział m. in.: – Decyzja o użyciu wojska w szerokiej skali, decyzja użycia broni osobiście sformułowana przez tow. Gomulkę, w obecności przewodniczącego Rady Państwa, premiera rządu oraz kilku innych członków kierownictwa partii (...) były to decyzje, które miały swą pełną zarówno faktyczną, jak i formalnoprawną moc. I nie wyobrażam sobie, by (...) dowództwo naszej ludowej armii mogło nie wykonać decyzji kierownictwa partyjno-państwowego, zwłaszcza wtedy gdy uzasadnia ją zagrożenie socjalistycznego ładu społecznego (...). I zakończył swe przemówienie: – Czuję się w obowiązku poinformować Komitet Centralny i zameldować całej naszej partii, że żołnierz wy-

konał godnie postawione mu zadanie...

Po jedenastu latach od tamtego godnego wykonania zadań żołnierskich Wojciech Jaruzelski zorganizował stan wojenny i objął nad nim dowództwo operacyjne oraz polityczne. I w grudniu 1970 roku, i w grudniu roku 1981 broił jak niepodległości – sam to dobitnie oświadczał, żeby nie było wątpliwości – socjalizmu, ustroju narzuconego nam przez obce mocarstwo dla utrzymania Polski w swym wasalstwie.

Nie potrzeba dziś udowadniać, że stan wojenny oddalił nas od cywilizacji zachodniej jeszcze bardziej niż wcześniejsze lata PRL. W stanie wojennym, oprócz możliwości (zresztą od godz. 13.00) picia taniej, chorobotwórczej wódki nie mieliśmy żadnych swobód: ani obywatelskich, gospodarczych, narodowych, ani tym bardziej politycznych. Gospodarka polska stoczyła się w taką depresję, że dzisiaj, po 22 latach, wciąż nie może się z niej wydzignąć, chociażby tylko na poziom Grecji czy Portugalii.

I pomyśleć, że ci sami politycy, którzy nas wprowadzają do Unii Europejskiej, powitali osobę odpowiedzialną za tamte śmierci, zniszczenia, zacołania, jak swego idola. Czy więc gdyby, uchroni Boże, komunizm moskiewski znów zawładnął nami i naszą częścią Europy, znalazłby wśród dzisiejszych polityków wielbiciele, wyznawców, wykonawców, beneficjentów i wiernych pomocników w oddalaniu Polski od kultury zachodniej?

Powitanie Wojciecha Jaruzelskiego na kongresie SLD odsłoniło prawdziwe oblicze tej partii. A ponieważ w historii zdołało często przemieniać się w dobro, to może ono odkrycie prawdziwego oblicza uanożni wreszcie tym, którzy dziś wołają, że za komunę było lepiej, iż dalsze powierzenie władzy eseldeowcom, aktualnym i byłym – bez różnicy – jest samobójstwem cywilizacyjnym.

Jacek Wegner

* Cytuję za: Andrzej Albert (Wojciech Roszkowski) *Najnowsza historia Polski 1918-1980*, wyd. IV Londyn-Warszawa 1991, str. 915;

** Tajne dokumenty Biura Politycznego, Grudzień 1970, W opracowaniu Marka Domańskiego, Londyn 1991, str. 361; dalsze cytaty i więcej o tym na ss. 364, 90, 181.

PRZEGLĄD PRASY

Ukraść Polskę

Transparency International ocenia, że spośród dziesiątki kandydatów, którzy zostaną przyjęci do UE w 2004 roku, najbardziej skorumpowanym państwem jest Polska. Przodujemy zresztą nie tylko w tej jednej dziedzinie. Mamy najbardziej nieudolną administrację rządową. Najgorzej wykorzystujemy unijne fundusze, zaś szara strefa w gospodarce obliczana jest na piętnaście procent produkcji. Jednocześnie *SLD*-owski rząd systematycznie odmawia pracy. Według *Komisji Europejskiej* polskie Ministerstwo Infrastruktury nie jest w stanie przygotować całościowej strategii rozwoju sieci autostrad i dróg w Polsce. Toteż po miesiącach upomnień i nalegań – informuje *Rzeczpospolita (Rz)* – *Komisja* sama opracowała taki dokument.

Przy okazji *afery Rywina* oraz tzw. *afery starachowickiej* (poseł ostrzegł przestępców przed akcją policji) okazało się, że patologią przeżarty jest również parlament, czyli najwyższy organ władzy. Patologią, a nie tylko korupcją, albowiem według oceny tygodnika *Wprost* aż *dwie trzecie* ustaw uchwalanych w polskim Sejmie to *naprawiające błędy nowelizacje*. To chyba absolutny rekord w dziejach europejskiego parlamentaryzmu, gdyż owe *dwie trzecie* oznacza, że w ciągu czteroletniej kadencji ponad dwa i pół roku naszemu parlamentowi zajmują poprawianie własnej nieudolności.

Czy w tym stanie rzeczy może kogośkolwiek dziwić, że dynamika wzrostu dochodu narodowego jest w Polsce najniższa spośród całej dziesiątki kandydatów do *Unii*? Państwo, które odmawia wypełnienia swoich elementarnych funkcji i obowiązków jest państwem chorym. Jak widać gołym okiem, odnosi się to nie tylko do struktur administracyjnych: chore państwo generuje chorą gospodarkę; inaczej być nie może. Rozwijają się i rosną w siłę jedynie te państwa, których rządy potrafią o to zadbać. A o co naj-

bardziej dbają nasi politycy i menadżerowie gospodarki? Kto czyta gazety, odpowie na to bez trudu. Minister Krzysztof Janik powiedział to zresztą z trybuny sejmowej: *korupcja w Polsce jest częścią regulacji z wyjątkiem*. Komentując zaś sfałszowanie ustawy o mediach tygodnik *Wprost* zapytuje retorycznie: *Ilu podobnych fałszerstw nie wykryto?* Odpowiedzi – oczywiście – nie ma, ale nie ma też dnia, aby prasa nie wykryła kolejnej afery.

Nie skończyła jeszcze swojego dochodzenia w sprawie ustawy o mediach nadzwyczajna komisja sejmowa, a już *Gazeta Wyborcza (GW)* i *Rz* ujawniły poważne nieprawidłowości przy przetargu na transporter opancerzony dla naszej armii. *Lipny offset na pojazd dla wojska* – napisano bez ogródek w *GW* i nie można mieć wątpliwości, że ktoś wziął pieniądze, i to zupełnie niemałe. Po gwałtownych zaprzeczeniach ze strony *MON* ministerstwo nabrało nagle wody w usta. Czy sprawa ta zostanie tak samo *zaltwowana* jak afera *FOZZ*, której główni bohaterowie od dziesięciu lat nie mogą doczekać się osądzenia?

To ostatnia wiadomość o sprzeniewierzeniu pieniędzy podatników. A wcześniej? Oto *SLD*-owskiemu wojewodzie łódzkiemu prokuratura przedstawiła zarzut kierowania zorganizowaną grupą przestępczą, oszustwa podatkowe oraz *wyprowadzenie* z firmy farmaceutycznej 7,2 mln złotych. *Wyprowadzenie* brzmi dosyć elegancko, nie jak pospolita kradzież. Według prasy dyrektor upadającej Huty Ostrowiec także *wyprowadzał* pieniądze: produkty tej huty sprzedawał po bardzo zanizonej cenie spółce, której był właścicielem. Co w tym czasie robił zarząd? Ano nie robił niczego. Czy dlatego, że z tego proceduru także czerpał korzyści?

Inny *SLD*-owski polityk – burmistrz Hawy – stanął przed sądem za fałszowanie dokumentów. W Koninie Urząd Miejski podarował publiczne pieniądze przy-

watnemu wydawnictwu, którego właściciele należą do rodziny wiceprezidenta miasta. *Jak dostać za darmo komunalne mieszkanie w centrum Warszawy?* – zapytuje *GW* i od razu odpowiada: wystarczy mieć *etat w śródmiejskim urzędzie, najlepiej w Wydziale Lokalowym*.

Pod koniec lipca prezydent Warszawy Lech Kaczyński powiadomił prokuraturę, że samorządowy poprzedniej kadencji sprzeniewierzyli znaczne sumy publicznych pieniędzy. *Wysocy urzędnicy samorządowi, wchodząc w układ biznesowy z (holenderską firmą) ING, bardziej dbali o interes prywatny firmy niż o mienie publiczne* – napisał, dodając, że wśród tych *wysokich urzędników* znajduje się były prezydent miasta Wojciech Kozak z *Platformy Obywatelskiej*. I cóż na to wyborcy? Ano nic, zupełnie nic, jakby nie obchodził ich stan państwa. *PO* w sondażach zajmuje wysokie, drugie miejsce, z piętnastoprocentowym poparciem wyborców, tuż za *SLD*, które rządzi jak widać, ale nadal zajmuje niekwestionowaną, pierwszą pozycję z ponad dwudziestoprocentowym poparciem elektoratu.

Patologią niekompetencji i korupcją porażone są jednak nie tylko *SLD* i *PO*. Przymotnie zauważyła to Krystyna Naszowska w *GW*: *to, co wyrabia klub (parlamentarny) PSL przy poparciu znacznej części SLD nie mieści się w żadnych kategoriach przyzwoitości. Tu nie chodzi ani o kraj, ani o rolników. Na pierwszym miejscu są układy partyjno-koleżeńskie*. Tymczasem po trzytym roku budowania kapitalizmu i państwa prawa 68 proc. Polaków uważa, że zmiany po 1989 roku wywarły niekorzystny wpływ na ich życie. 57 proc. ocenia, że zmiany po 1989 roku się nie udały. 74 proc. uważa, że ich dochody nie pozwalają na zaspokojenie bieżących potrzeb. Ale nikt na razie nie został przykładowo ukarany za *wyprowadzenie* publicznych pieniędzy.

Oto najnowsza wiadomość (18 VIII), tym razem z I programu *Polskiego Radia*: *Rakieta zakupiona za ponad miliard (!) od Izraela nie pasuje do owego pojazdu wojskowego kupionego w lipniu przetargu...*

Andrzej W. Pawluczuk

Wydawca Miesięcznika PiP:

Wydawnictwo *MICHALINEUM*
przy Kurii Generalnej
Zgromadzenia św. Michała Archanioła.
Dyrektor Wydawnictwa Michalineum
ks. Krzysztof Kuźnik CSMA

Redaguje:

Redaktor naczelny: ks. Sylwester Łącki CSMA
tel. (22) 771-45-95 lub 0 602 603 717
e-mail: pip@michalineum.pl

Adres redakcji:

PIP, ul. Piłsudskiego 248/252,
05-261 Marki k. Warszawy.
tel. Wydawnictwa: (22) 781-16-40
www.michalineum.pl

Skład, lamanie, druk:

Drukarnia *MICHALINEUM*.
Grafika komputerowa:
ks. Andrzej Rybicki CSMA

Redakcja nie zwraca maszynopisów
nie zamówionych.

Najkorzystniejsza jest prenumerata

Warunki prenumeraty

Roczna prenumerata 1 egz. wynosi 48 zł
Opłatę na prenumeratę należy wpłacać na
konto:

PKO BP SA IV O/Warszawa
Filia Wołomin
55-10201042-122460033

W miejscu przeznaczonym na korespondencję prosimy wpisać okres prenumeraty i liczbę prenumerowanych egzemplarzy. Miesięcznik można otrzymać również za pobraniem pocztowym. W przypadku większej ilości egzemplarzy (ponad 10) udzielamy rabatu.

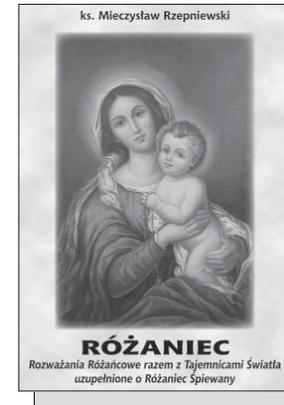
Zamówienia na czasopismo
prosimy kierować na adres:

Wydawnictwo *MICHALINEUM*
(Dział Kolportażu)
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki
tel.: (22) 781-14-20.

Redakcja dysponuje ograniczoną ilością
egzemplarzy archiwalnych.

Czasopismo można także nabyć w następujących domach zakonnych Zgromadzenia:
1. Warszawa-Bemowo II, ul. Ks. Markiewicza 1
2. Miejsce Piastowe, ul. Ks. Markiewicza 25a
3. Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 95a
4. Stalowa Wola, ul. Ofiar Katynia 57
5. Toruń, ul. Rybaki 59

Za zgodą władz kościelnych



Obecne dziesięciolecie zapewne będzie przez nasze wnuki nazwane dekadą różańcową – powiedział niedawno sympatyczny dziadzio przeglądający nowe propozycje wydawnicze w księżelnej księgarni. Co roku pojawiają się liczne opracowania książkowe zawierające bądź to rozważania poszczególnych tajemnic różańca, bądź też wyjaśniające genezę i rozwój tego nabożeństwa. Wreszcie zawierające opasłe ustanowienie różańcowych TAJEMNIC ŚWIATŁA. Ta modlitwa zaczyna być jakby naszą narodową modlitwą.

Wydawnictwo Michalineum

wykazywało w tym zakresie dużą aktywność edytorską. Na łamach *PIP* promowaliśmy sporo pozycji różańcowych, które wyszły spod prasy tej oficyny. Tym razem proponujemy P.T. Czytelnikom nową pozycję edytorską podejmującą tematykę różańcową – autorstwa ks. Mieczysława Rzepniewskiego – *Różaniec*.

Książkę stanowią krótkie (czasem średniej długości) rozważania tajemnic wszystkich czterech części Różańca. Mają one charakter okolicznościowy. I tak mamy: różaniec z Papieżem, różaniec przed Najświętszym Sakramentem, różaniec fatimski, z Maryją w drodze czy Miłosierdzie w różańcu. Do rozważań tajemnic Różańca dodano jednakże dwie niespodzianki. Pierwszą z nich jest *Różaniec poetycki* – medytacja poetycka nad tajemnicami różańca. *Wpatrzona* niejako w modlitwę poetycką ks. Stanisława Grabowieckiego czy też Autora naszych popularnych *Godzinek*.

Drugą niespodzianką jest *Różaniec śpiewany* – z podanymi dwoma wersjami melodycznymi. Prawdę mówiąc jest to też *mowa wiązana* – czyli jakby poezja śpiewana, mocno zabarwiona emocjonalnie. To się dobrze czyta – a pewnie i śpiewa. Tym się dobrze modli.

Walory *rozrusznika* wyobraźni, tudzież emocji religijnych – nie wyczerpują praktycznej użyteczności tej pozycji książkowej. Bowiem jest to przebogate źródło pomocy (materiałów) duszpasterskich dla wszystkich, którzy parają się religijną formacją dzieci (katechetów, liderów grup formacyjnych dzieci i młodzieży) czy też zwyczajnym duszpasterstwem parafialnym. Każdy może czerpać do woli i wykorzystywać *Rozważania* do różnych uroczystości (nie tylko Maryjnych), misterii, spektakli itd.

Pozycję *Różaniec* autorstwa ks. Mieczysława Rzepniewskiego Wydawnictwo *Michalineum* oferuje pod adresem:

Album można zamówić pod następującym adresem:

Wydawnictwo *Michalineum*
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki
tel. (22) 781 14 20, fax (22) 771 36 1
e-mail: wydawnictwo@michalineum.pl

Cena jednego egzemplarza wynosi 5 zł plus koszt wysyłki.